№ 2. Warszawa, dnia 27 Grudnia (8 Stycznia) 1875/6 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

NIEZABUDKA.

LEGENDA ADAMA PŁUGA.

Myśl wzięta z baśni czarodziejskiej Goppé.

Maryannie i Józefowi P.

Żył sobie niegdyś — w średnie wieki pono,
W warownym zamku, na nadreńskiej skale,
Potężny Baron z swą dostojną żoną,
Chciwy, okrutny. Klęli go wassale,
Srogiem drapieztwem jego wciąż nękani;
Ona zaś, matka sług swoich nie pani,
Niby Opatrzność czuwała nad niemi,
I była istnym aniołem na ziemi.
Lecz na tej smutnej gorzkich łez dolinie,
Nie może trwałym być pobyt Anioła;
Zesłaniec Boży, skoro Bóg nań skinie,
Wraca do nieba i nikt go nie zdoła
Dłużej zatrzymać. Więc rychło i ona
Do anielskiego powróciła grona.
Lecz choć jej pobyt trwał na ziemi krótko,
Długo lud łzami rosił jej mogiłę,
I pozostałe po niej dziecię miłe
Przezwał pamięci kwiatkiem — Niezabudką.

Bo też i godną była tego miana
Córa, przez taką matkę wychowana,
I wzbogacona przenajdroższym spadkiem
Cnót, których przy niej była ciągłym świadkiem.
I była, niby istny kwiat majowy,
Tego zamczyska ozdobą jedyną,
I niby śpiewną miluchną ptaszyną,
W gnieździe drapieżnej zamieszkałą sowy.

Baron, którego niegdyś ona święta
Małżonka w dzikim hamowała szale,
Odkąd ją stracił, stargał wszelkie pęta
Żądz swych bezecnych i zapamiętałe
Coraz to srożej gnębiąc lud zbiedzony,
Dni całe spędzał, już to na rozboje
Po okolicy wodząc knechty swoje,
Już z niwy jeszcze nie zebrane plony
Depcąc poddanym, gdy z końmi i charty,
Ścigał za zwierzem łowiec ten zażarty,
Co nigdy, nawet i w święte dni Boże
Nie zaprzestawał tej dzikiej rozpusty;
Choć przyrzekł, gdy go stygnącemi usty
Nieboszczka rzewnie zaklęła, że zmoże
Złe swe popędy, że świętej niedzieli
Nigdy znieważyć już się nie ośmieli,
I choć raz w tydzień z ukorzeniem ducha,
W Świątyni Pańskiej Mszy świętej wysłucha.
Przyrzekł, lecz jakby razem z tą niebogą,
I przyrzeczenie jego w grób zapadło,
Nigdy w kościele nie postał ni nogą;
Bo go tam straszne ścigało widziadło —
Myśl, że zazwyczaj u świętych podwoi
Kilku żebraków nieszczęśliwych stoi;
Bo prędzej sobie kęsby wydarł serca,
Niżby dał biednym jałmużnę ten zdzierca.

Gdy więc tak trawił dni swego żywota,
W ponurym zamku biedna Niezabudka
Smutne godziny pędziła samiutka;
Bo nigdy gość tam nie zajrzy we wrota,
I nigdy, nawet w Święto Narodzenia,
Komin wesołym połyskiem płomienia,
Ani rozgrzeje, ani nie ozłoci
Ścian, pełnych mroku, chłodu i wilgoci,
Ani też nigdy gwar serdeczny ludzi,
W grobowej ciszy echa tam nie zbudzi.
Więc całą zimę biedna sierotéńka,
U zamarzłego siedząca okienka,
Pracą bywało smutny czas swój skraca.
A zacną była i świętą jej praca,
Bo macierzyńskie wszystkie szaty stare,
Których już baron nie miał sprzedać komu,
Krajała, szyła na dziecinną miarę,
By późniéj niemi darzyć pokryjomu
Biedne sieroty; a choć rączką skrzepłą
Od chłodu nieraz ledwie igłą ruszy,
Na myśl, że biednej dziatwie będzie ciepło,
Bywało ciepło i jasno w jej duszy.
Lecz rychło skrzynię wyczerpała do dna,
I już dla biednych nie miała nic zgoła!
Więc ile razy wyszła do kościoła,
A po zwyczaju, obdarta i głodna
Drogę jej rzesza zabiegła nędzarzy,
Z żałosnym jękiem wyciągając dłonie;
To już myślała, że ze wstydu spłonie,
Szepcąc ze smutkiem: niech was Bóg obdarzy!
To też bywało, wzrok utkwiwszy w ziemi,
Przez tłum ich, biedna, śpiesznie się przeciska,
I w murach swego skrywszy się zamczyska,
Długo się łzami zalewa gorzkiemi.

Raz po nieszporach — było to w niedzielę—
Ujrzawszy, jak tych nieszczęśliwych wiele
Kościelnych schodów zalegało stopnie,
Ślepych, kulawych, schorzałych okropnie,
Którym z łachmanów widać nagie ciało,
I trąd oblicza wykrzywione szpeci,
A śród nich dziatwę z nędzy już zgrzybiałą,
I starce z głodu płaczące jak dzieci,
I matki biedne, do wyschłego łona
Tulące, ledwie żywe niemowlęta;
Stanęła srogim żalem przenikniona,
Że im pomocy żadnej dać nie może,
I taką trwogą, takim wstydem zdjęta,
Iż jej odwagi zabrakło, z kościoła
Wielkiemi drzwiami przejść pośród tej rzeszy!
Więc wstecz się cofnie i co rychlej śpieszy,
By przez zakrystyą umknąć pokryjomu
I po przez łąkę ztamtąd biedz do domu.
Biegnie, spłakana, drżąca, boleściwa,
A jej duszyczka w Niebo się wyrywa,
Do matczynego tam się tuląc łona,
I na swą dolę skarżąc rozżalona,
Na dolę srószą od doli nędzarzy,

Na których nawet spojrzyć się nie waży,
I jakby winą obarczona srogą,
Uciekać musi od nich skrytą drogą.

A gdy tak myśląc, w łzach tonące oczy
Zwróci ku Niebu — stanie jakby wryta;
Bo dziw radosny ją za serce chwyta,
Bo przed nią obraz jej matki uroczy
W wielkiej jasności śród błękitów pływa!
Ona ta sama, ona, jakby żywa,
Patrzy się na nią i uśmiecha słodko
I mówi do niej: „o moja sierotko,
Próżna twa żałość i skargi twe próżne,
Mylisz się myśląc, żeś mi biedna taka,
Że już cię nie stać nawet na jałmużnę,
I że uciekać musisz od żebraka,
Oczu nań podnieść nie śmiejąc we wstydzie.
Dar miły Bogu i sercu nędzarza,
Nie tylko z ręki szczodrobliwej idzie,
Ale i z duszy tego co obdarza.
I wierz mi, dziecię, nieraz jedno słowo,
Jedna łza, uśmiech serdecznej dobroci,
W znękaną duszę wleje siłę nową,
Boleść ukoi i nędzę ozłoci.
Wróć więc, daj serce biednym zamiast chleba,
A reszty Pan Bóg sam dopełni z Nieba.“

Rzekła i wnetże postać jej świetlana
Znikła, jak we śnie oglądane dziwy,
Gdy złote słonko swoim blaskiem z rana
Oczy nam na świat otworzy prawdziwy.
Tylko dokoła na niebie i ziemi
Stało się jaśniej, niż w jasne południe,
Jakby te blaski dziwne, co się niemi
Obraz nieboszczki malował tak cudnie,
Powodzią światła swojego świat cały,
Powietrze, pola i łąki zalały,
I w Niezabudki sercu, jak w klejnocie
Iskier tęczowych zapaliły krocie.

Błogość nieziemska jej duszyczkę pieści,
Już zapomniała smutku i boleści,
Już się nie wstydzi biednych i nie trwoży,
I jak radosny szczęsny ptaszek Boży,
Jakby jej skrzydła dał kto szybujące,
Rączo napowrót mknie po barwnej łące,
I piosnkę sobie szczebiocąc wesołą,
W locie rwie kwiatki, których pełno w koło.

Wbiegła na drogę wielką, a przy drodze
Siedzi staruszka, wynędzniała srodze,
I rękę do niej z modlitwą wyciągał.
— O babciu miła! — zakwili niebożę —
Niech miłosierny Bóg ci dopomoże,
A ja, On świadkiem, nie mam ni szeląga!
Nie mam nic zgoła, prócz tych kwiatków oto,
I te ci daję z serdeczną ochotą!
Niech ci ich widok oczy rozweseli,
A może święci sprowadzą Anieli
Kogoś, co będzie szczodry i bogaty,
I grosz ci jaki rzuci za te kwiaty!
— O, niech Bóg stokroć odpłaci panience!
Rzekła staruszka — wziąwszy snopek w ręce,
Niechaj za litość, co ci w oczach świeci,
I co tak słodko dźwięczy w twojej mowie,
Wszystkie ci drogi żywota ukwieci,
Niech da ci szczęście, dostatki i zdrowie!“

A Niezabudka wdzięcznie zasromana,
Z bijącem sercem, ze łzawą powieką,
Już od staruszki odbiegła daleko,
I nie widziała, jak cudowna zmiana
Zaszła z jej darem; lecz dotąd wieść słynie,
W całej tej, gdzie się to stało krainie,
Jako po chwili żebraczka zdumiona,
Musiała oba natężyć ramiona,
Aby udźwignąć snop pszenicy złoty,
Co urosł z kwiatków, wziętych u sieroty;
I powiadano znów, że z tego snopa
Powstała snopów caluteńka kopa,
A z kopy sterta, i przez całe życie,
Nie brakło chleba już onej kobiecie.

A Niezabudka wesoła, szczęśliwa
Błogosławieństwem serdecznem staruszki,
Pomyka dalej i bławatki zrywa,
I nucąc piosnkę, wije z nich wianuszki.
Aż nagle zmilknie i w biegu się wstrzyma,
Żałosny widok mając przed oczyma.
U drogi stoi jakaś dziewczynina,
Ledwie okryta brudnemi łachmany;
Wdzięczna twarzyczka jej blada, aż sina,
Oczki zapadłe, jasny włos splątany,
Cała jej postać znędzniała, skulona,
Ciche łzy płyną, jęk na ustach kona,
Co drżąc, na słowa zdobyć się nie mogą;
Lecz słów nie trzeba, bo spojrzenie jedno
Wystarczy, by się przekonać, jak srogo
Nędza i głód się pastwi nad tą biedną!

Więc się rozpłacze gorzko Niezabudka,
I do dzieweczki się odezwie czule:
O ty biedaczko, moja ty malutka!
Czemże ja żal twój i boleść utulę?
Czem cię okryję, czem głód twój ukoję,
Kiedy tak smutne własne życie moje!
Niech Bóg cię wesprze! w Nim złóż swą nadzieję,
Ufaj, że On cię nakarmi, odzieje;
On stroi kwiaty, On żywi ptaszęta,
I o najlichszym robaczku pamięta.
A ja ci chyba dam ot te bławatki;
Weź je i zanieś do Najświętszej Matki,
Co tam u drogi z marmuru rzeźbiona,
Dzieciątko Boże piastuje u łona.
Z modlitwą rzewną u stóp Jej ofiarnie
Złóż te wianeczki i nie wątp dziecino,
Że Ta, co wszystkich sierot jest jedyną
Matką najlepszą, i ciebie przygarnie,
I zjedna dla cię cud litości Boży,
Który niedoli twojej kres położy!“

Tak niebożątko ciesząc słodką mową,
Z pieszczotą tuli ją w swoje objęcia,
I miękką dłonią głaszcze główkę płową,
I blade liczko całuje dziewczęcia.
I łzy dzieweczce oschną tejże chwili,
I oczki błysną jak gwiazdeczki złote,
I uśmiech wdzięczny usta jej umili....
Bo kto do serca przygarnie sierotę,
Kto ją ukocha, Nieba jej przychyli!

Tak więc biedaczka, choć na moment krótki
O srogiej swojej zapomniawszy nędzy,
Wianuszki wzięte z ręki Niezabudki,
Niosła do Matki Najświętszej czemprędzej.
Lecz nim staj parę ubiegła w tę stronę,
Dziw ją radosny powstrzymał, bo one
Wianki w jej dłoniach — o mój Boże miły!
W pyszne kołacze nagle się zmieniły.
I dotąd w onej okolicy ludzie
Opowiadają o tem jak o cudzie,
Dodając nadto, że po kres żywota
Już nie zaznała głodu ta sierota.

A Niezabudka błogo rozrzewniona
Wzruszeniem, co go serce jej zaznało,
Gdy przygarnęła litośnie do łona
Osieroconą dziecinę zgłodniałą,
Szła dalej, wielbiąc swoją matkę drogą,
Co jej cudownie przypomniała z Nieba,
Jak biedni biednym przynieść ulgę mogą,
I jak łaknących nakarmić bez chleba.

(d. n).

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską)

(Dalszy ciąg).

W tej chwili nie pomyślał która z nich dwóch miała być bogatszą, zapomniał o warunkach materyalnych jakie go krępowały, czuł się zdolnym do pracy i wytrwania, a potrzeby zmniejszały się w jego oczach, odtrąceniem wszystkich zbytkowych przyzwyczajeń, co dla Stasi zdawało się nie istnieć wcale.

— Panno Stanisławo, wyrzekł znowu, czy pojmujesz że są w życiu stanowcze momenta, że czasem jedna chwila przetwarza człowieka do niepoznania; że ze zmianą moralnego stanowiska, zmieniają się zasady jego bytu: że musi obojętnieć na to co kochał, a kochać to czego nie znał dawniej, nie popełniając grzechu lekkomyślności.

— Nie pojmuję tego, odparła bez wahania, bo któż może zaręczyć, że zmiana ta nie powtórzy się więcej? Za cóż pokutować mają ci co uwierzyli?

To loiczne pytanie było w charakterze Stasi, uczyniła go bez żadnej wstecznej myśli, idąc po prostu za rozumowaniem Feliksa.

— Masz pani słuszność, odparł z goryczą, jestem niedorzecznym i występnym w oczach twoich, powinienem się był tego spodziewać. A jednak są uczucia które łamią wszelkie rozumowania, i choćby nawet zła chwila życia, postawiła nas na fałszywej drodze, one powracają na tor właściwy. Czyż wówczas nie miałabyś pani litości.

— Litości? powtórzyła zdziwiona, o kimże pan mówisz, cóż ja tu mam rozstrzygać?

— Jeśli nie zrozumiałaś pani, zawołał Feliks przywiedziony do ostateczności tem zapytaniem, że cię kocham, wbrew obojętności jaką mi okazywałaś zawsze, wbrew szalonym zobowiązaniom które sam sobie narzuciłem, to ja nie mogę nic dodać na swoją obronę.

Gdyby w tej chwili cudem jasnowidzenia, rodzice Feliksa mogli zajrzeć przez odległość i przestrzeń, aż do głębi jego serca, poznaliby w nim dziecię swoje, nie tylko z ciała ale i z ducha. Pomimo wszystkich cynicznych teoryi, zapożyczonych w umysłowych zaułkach, pomimo całego lekceważenia dla uczuciowej strony człowieka, którą młody doktór tak zupełnie odrzucał, kochał on Stasię.

Przemówiła w nim najwyższa prawda życia. Stasia słuchała wyznania jego w milczeniu, dla niej była to nowość przykra i bolesna. Nie podawała jednak w wątpliwość uczuć jego, bo i dla czegoż miałby kłamać.

— Przysięgam ci panno Stanisławo, mówił młody doktór z zapałem, że jakakolwiek byłaby odpowiedź twoja, pomiędzy mną a Eligiją skończyło się wszystko, nie kocham jej, pojmuję to dzisiaj, i nigdy kochać nie mogę.

— Ale ona kocha pana.

— Więc to ma być pani odpowiedź? pochwycił złamanym głosem.

— Gdyby nawet to słowo wydarło się wbrew sercu memu, jeszcze bym je wypowiedzieć musiała, wyrzekła dziewczyna rozumiejąc dobrze, iż tu nie było miejsca na pół słowa i omówienia.

— Wbrew sercu pani? zawołał, biorąc ten wyraz za nadzieję.

— Przecież tak nie jest, mówiła dalej spokojnie. Widziałam w panu dotąd jedynie narzeczonego kuzynki, i zawsze widzieć będę.

— I to pani ostatnie słowo? spytał ponuro.

— Ja nie mam dwóch słów, wyrzekła smutnie spuszczając głowę, ale panie Feliksie dla czego pan to uczyniłeś, czem ja biedna dziewczyna mogłam się panu podobać?

Było tyle prostoty w tych wyrazach, że on spojrzał na nią z nieskończonym smutkiem ale i słodyczą. Nie było w nim gniewu odrzuconego kochanka tylko wzrastające uwielbienie dla tej jasnej, czystej, odważnej natury, która szła prosto swoją drogą, nie cofając się przed niczem.

— Dla czego cię pokochałem panno Stanisławo, zawołał, mój Boże przecież to rzecz jasna jak słońce. Zbłąkanemu wśród świata szaleństw, pozorów, obłudy i fałszu, ty zajaśniałaś jak zorza innego życia szarpanemu zewnętrznym niepokojem: ty przykładem swoim wskazałaś jedyną drogę szczęścia, byłaś dobrą wśród złych, skromną wśród próżnych, wytrwałą w nieszczęściu, mężną, łagodną, przebaczającą i wspaniałomyślną. I ty pytasz czemum się pokochał? Czyż jestem głupim i ślepym?

W życiu swojem pan Feliks nie przemówił w podobny sposób do żadnej kobiety, i nie sądził by to było możebnem. W tej chwili zapomniał wszystkich konwencyonalnych frazesów, któremi posługiwał się w potrzebie a to co powiedział było tylko słabem odbiciem tego co czuł rzeczywiście.

Stasia słuchała go zdumiona: nigdy nie pomyślała o własnej wartości.

— Panie Feliksie, wyrzekła wreszcie, sprawiłeś mi pan wielki smutek.

— Ja tobie, panno Stanisławo. Nie mów tego ty nie możesz w to wierzyć.

Wstrząsnęła głową.

— Przez pana stałam się nienawistną prawie w domu wuja, przez pana straciłam przyjaźń Eligji która jedna przyjęła mnie tam otwartem sercem, przez pana wyglądam w jej oczach na niewdzięcznicę, co odebrała jej podstępnie serce narzeczonego. A przecież przyznaj sam panie Feliksie, czym ja upoważniła cię do tego jakimkolwiek słowem, lub spojrzeniem?

— Nie pani, podbiłaś mnie tem co nie było w mocy twojej utaić, różnicą jaka istnieje pomiędzy tobą a otaczającym światem. Powtarzam to raz jeszcze, tylko ślepy tego by nie dostrzegł, Eligija nie powinna mieć do mnie żalu, nie kochałem jej nigdy.

— Czemuż więc mówiłeś pan to, czego nie czułeś?

— Jesteś pani bez miłosierdzia! Jak ci co nigdy nie zeszli z drogi właściwej dziwię się temu, odparł z pognębieniem, a jednak....

— Tu nie idzie o żadne miłosierdzie, Eligija kocha pana na mocy własnych słów twoich, zawierzyła ci przyszłość, jakiem prawem chcesz pan je złamać?

— Więc cóż mam uczynić, panno Stanisławo? Osądź sama, czy mogę pójść do niej z obrazem twoim w sercu i w myśli, i dotrzymać zobowiązania zawartego wówczas jeszcze, gdym ciebie nie znał? Możesz odepchnąć mnie, ale tego nie dokażesz nigdy, ażebym powrócił do Eligji.

— I cóż jej pan możesz zarzucić, w czem zmieniła się od owej chwili, w której ślubowałeś jej przyszłość?

— Ona nie odmieniła się wcale, zmieniłem się ja, wiem ó tem, tylko powtarzam, cóż mam uczynić?

— Dla czego pan mnie o to pytasz? Pytaj lepiej własnego sumienia.

— Sumieniem mojem stałaś się ty panno Stanisławo. Powiedz, czy mogę stanąć u ołtarza i przysiądz to, co wiem że dotrzymać nie mogę?

— Czemuż byś pan Eligji nie mógł pokochać.

Zamiast odpowiedzi Feliks spojrzał na nią wymownym wzrokiem.

— Może nie dziś nie jutro, mówiła dalej, ale kiedyś. Mnie stracisz pan z oczów, zapomnisz...

— Nigdy! przerwał z zapałem.

— Musisz pan zapomnić, powtórzyła, potem co zaszło, w domu wujostwa pozostać nie mogę.

— Więc ja miałbym panią pozbawiać schronienia i opieki? Oni to śmieli pani powiedzieć?

— Nikt mi tego nie powiedział, poczułam to sama. Bezwiednie wprawdzie zniszczyłam ich zamiary, zamąciłam domowy spokój, stałam się przyczyną pogorszenia stanu Eligji, jej rozpaczy, może śmierci.

— Tych okropnych następstw nie ma i nie będzie. Pani przecież nic nie zawiniłaś. Jeźli kto zgrzeszył to ja — ja sam jeden, i odpowiedzialność za to na mnie tylko ciążyć powinna.

— Wobec tego co jest, któż temu uwierzy. A z resztą bądźmy sprawiedliwi: gdyby nie mój przyjazd, wszystko to nie miałoby miejsca.

Loika tego argumentu była niezbitą, doktór mógł wprawdzie dowodzić, że postanowienie jego nie było wcale tak niezachwiane, jak się to z pozoru zdawało. To jednak nie uniewinniłoby go w oczach Stasi.

— Rozumiem, zawołał, postawiłem się w położeniu bez wyjścia.

— Ja sądzę, odparła powoli dziewczyna, że przy dobrej woli, z każdego położenia wyjść można, chociaż rozwiązanie trudności bytu, czy zaplątał nas w nie przypadek, czy własna nierozwaga nie da się od razu wynaleźć. Zdaje mi się jednak panie Feliksie, że rozmowa ta trwa za długo i do niczego doprowadzić nie może. Późno już, czas mi powrócić do domu.

— Chwilę jeszcze, panno Stanisławo, wyrzekł błagalnie, pozwól mi pani tylko postawić sobie jedno pytanie.

— Pytaj pan, ale niech to będzie ostatnie.

— A więc gdyby los postawił nas w obec siebie w odmiennych warunkach, gdybym nie był nierozważnem słowem związany z inną? gdyby?...

Tym sposobem doktór zastawiał niejako sidła na serce Stasi, wiedział że nie umiała kłamać, od odpowiedzi więc jaką miał odebrać, zależał niejako przyszły los jego. Ale Stasia odparła bez wahania:

— Alboż to można wiedzieć coby się stać mogło w odmiennych okolicznościach. Są to próżne myśli, dla tego nie zastanawiałam się nad tem nigdy. Wiem to tylko, że ażeby oddać serce i zawierzyć przyszłość potrzebowałabym mieć niezachwianą ufność, bo nie pojmuję tutaj pół uczuć ani układów z sumieniem. Że na tym któregobym wybrała, musiałabym polegać jak na opoce.

Odpowiedź ta w której pomimo najszczerszej chęci, Złocic nie mógł dopatrzyć żadnego rysu coby przypominał jego samego, wzbudziła w nim rodzaj tłumionego gniewu. Bądź jak bądź pomimo całej pokory jaką uzbroił się w obec Stasi stary człowiek odzywał się w głębi jego ducha i spodziewał się czego innego. Przez chwilę uśpiona miłość własna zaprotestowała gwałtownie, i odezwała się w szyderczych słowach.

— Jak widzę masz pani swój ideał, jako starszy jednak i doświadczeńszy muszę ostrzedz cię panno Stanisławo, iż urzeczywistnienia jego nie znajdziesz tak łatwo. W naszych czasach trudno o takich ludzi w opoce wykutych.

— Ja też, wyrzekła spokojnie, nie narzucam go nikomu, pytałeś pan, odpowiedziałam.

I znów rozbroiła go prostota tej odpowiedzi.

— Ja nie to chciałem powiedzieć, wyrzekł miękko pani warta jesteś znaleźć równego sobie, ale czy znajdziesz?

— Alboż żądam niepodobieństwa. Chcę tylko serca coby biło na równi z mojem, myśli i pojęć któreby chodziły w parze z mojemi, wiary i ufności podobnej do tej jakąbym ślubować mogła. Jeźli pan nie znasz takich ludzi to muszę pana żałować, bo ja chociaż młoda i niedoświadczona widziałam ich wielu.

— I gdzież to tak panno Stanisławo? Wszak sama przyznajesz się iż nie znasz świata.

— Nie wiem czem jest tak zwany świat, nie miałam z nim nigdy nic wspólnego, jednak jeźli jest on taki, jak pan powiadasz, to doprawdy żałować tego nie mogę. Ludzie o których mówię pracowali równie jak ja, uczyli się z trudem, i szli przed siebie na przebój: to zapewne uczyniło ich hartownemi, rozważnemi i wyrobiło pomiędzy nami braterstwo uczuć.

— Panno Stanisławo, szepnął zawstydzony Feliks, musisz mieć słuszność, jestem za nadto zły i zepsuty żeby cię zrozumieć ale słowa twoje przypominają mi ojcowskie nauki, rodzice moi pokochaliby cię jak córkę.

— Pan masz rodziców, takich rodziców! zawołała zwilżonym głosem, jesteś pan bardzo szczęśliwy!

Do tej chwili doktór mało cenił to szczęście, teraz jednak pojął że miałby w nich sprzymierzeńców, że Stasia i oni należeli do jednego obozu, byli spokrewnieni duchem.

— Chciałbym żebyś ich pani poznała, wyrzekł, oni przemówiliby za mną skuteczniej niż to sam potrafię uczynić.

— Panie Feliksie jeźliś mnie pan dobrze zrozumiał, to nie będziem mówili o tem nigdy — nigdy więcej. Wierz mi pan, to byłoby daremnie. Chcesz pan, a zapomnę o dzisiejszem spotkaniu, o wszystkiem co tu zaszło, będę pamiętać tylko że jesteś dobrym, szlachetnym, że w tobie mam przyjaciela. Eligji nie powiem słowa, zapomni podejrzeń swoich, wróci do zdrowia, do szczęścia.

Mówiła to błagalnym głosem, ale on wstrząsnął głową z wyrazem smutku i zaprzeczenia.

— To być nie może, odparł zwolna, gdybym tego chciał nawet to być nie może. Do przeszłości niepodobna powrócić, a moja nie jest tego rodzaju żebym jej mógł pożałować. Pani nie wiesz sama czego żądasz. Eligija związana jest z najgorszemi wspomnieniami memi. Nie śmiałem dotąd uczynić całkowitej spowiedzi. Masz słuszność, panno Stanisławo, nie powinnaś mnie kochać, nie jestem godzien ciebie.

Słowa te wyrwały mu się prawie gwałtem ze ściśnionej piersi, po raz pierwszy w życiu cierpiał prawdziwie. Ta samolubna natura, zepsuta pieszczotami rodziców, łatwym stosunkowo losem, powodzeniem, kruszyła się w ogniu prawdziwego uczucia w cierpieniach serdecznych.

Odszedł od niej bez pożegnania, nie miał siły ani odwagi więcej powiedzieć: w jego duchu otwierały się jakieś przepaście i pochłaniały to wszystko, co dawniej pożądał. W obec skarbu czystego serca, po który sięgnął daremnie, jak małemi i nikczemnemi zdawały mu się dawne pragnienia.

Powrócił do siebie i znowu rzucił się na tę sofę, gdzie parę tygodni temu zastał go Luś, pogrążonego w splenie zwykłym u złotego młodzieńca, który ni-

gdy nie może środków swoich zrównać z zachceniami.

Teraz on także czuł ubóstwo swoje, ale ubóstwo innego rodzaju, ubóstwo charakteru, uczuć i myśli w obec ukochanej. Działa się w nim przemiana dziwna, niepojęta dla siebie samego. Teraz on tęsknił prawie do tej rodzicielskiej zagrody, gdzie prowadziłby życie szczęśliwe, byle Stasia je z nim dzieliła.

Zapomniał zupełnie, że naprzód zwrócił do niej myśl swoją dla sukcesyi o której mówił mu prowincyonalny kolega, teraz jeżeli powróciły mu do pamięci świetne nadzieje wróżone sierocie, drżał by się one nie ziściły. Bo i jakimże czołem po tem wszystkiem co zaszło, byłby mógł zwrócić się do dziedziczki wielkiego majątku, do Stasi bogatszej od Eligji.

Nie zatrzymywał się jednak wcale nad tą obawą: sukcesya Salezego Drobińskiego zdawała mu się należeć do mytów, a przynajmniej do rzeczy nie wchodzących w rachuby obecne. Nie wiedział wcale, że stary bogacz był konający od dni kilku, że umarł już, że pan Kalasanty pojechał na pogrzeb, i że prawdopodobnie kwestya sukcesyi, była w tej chwili rozstrzygniętą.

Od kilku dni nie pokazał się wcale u Drobińskich, unikał wspólnych znajomych, a szumne nekrologi nieboszczyka, nie pojawiły się dotąd w gazetach. Był więc zupełnie nieświadomy, iż właśnie w przeddzień wzbogacenia Stasi miał z nią ową stanowczą rozmowę.

Teraz rozmyślał nad tem co miał uczynić. Za nadto wiele miał jeszcze miłości własnej, by uwierzył odrazu w stanowczość odebranej odmowy. Powodzenie moralne, pozbycie się fałszywych pierwiastków nagromadzonych w duchu, wszystko to nie może być dziełem jednej chwili, wszystko to potrzebuje pracy i walki wewnętrznej. Feliks zaś pragnął pozyskać serce Stasi, z tą samą gwałtownością z jaką dawniej marzył o bogactwie i użyciu. Nie umiał powoli i wytrwale zapracować na szczęście, chciał je mieć odrazu, na skinienie, ponieważ tego zażądał. Jeśli zaś przychodziło mu przelotne poczucie, iż rzeczywiście nie był godzien ukochanej, nie miał dotąd silnej woli i postanowienia doścignięcia jej koniecznie.

Frazes ten „tyś lepsza ode mnie“ znaczył w jego języku: „Kochaj mnie lepiej niż ja to potrafię uczynić: wierz mi, choć na to nie zasługuję.“ Był to rodzaj wyznania bardzo często przychodzący na usta pewnej kategoryi ludzi, dość sumiennych by poznać własne niedobory, nadto niedołężnych aby je usunąć. Feliks czyniąc je miał przekonanie wewnętrzne, iż Stasia właśnie w ten sposób zrozumieć je powinna. Bo pomimo wszystko co widział i mówił, nie podobna mu było wierzyć, by jego piękność, wdzięk, uczucie a w końcu bezinteresowność, nie zdobyły serca biednej dziewczyny.

O odpowiedź odebraną, wolał winić fatalne okoliczności, w jakich znajdowali się oboje, niżeli jej serce. Brał je za poświęcenie, za szlachetność, za wszystko to, co mogło mu pochlebić, dla tego postanowił naprzód uwolnić się od dawnych zobowiązań a potem dopiero powrócić do ukochanej. Na ziszczenie tych planów zdało mu się rzeczą najstosowniejszą, położyć pomiędzy sobą a Eligiją przestrzeń i czas.

Nie namyślając się więc długo, postanowił schronić się do dworku rodziców, dopóki nie zdoła zażegnać burzy w domu Drobińskich. Tym razem jednak nie zapowiadał naprzód swojej bytności, nie oczekiwał w banhofie na odjazd przyjaciół, by nie spostrzegli jak siadał na niepoczesny wózek ojcowski, ale nająwszy sobie chłopską bryczkę w Piotrkowie, zaraz po nadejściu pociągu, ruszył do Sulejowa.

Minęły już pierwsze dni wiosenne, szata zieloności przybrana przez naturę w tej porze, utraciła coś ze swojej szmaragdowej jasności, natomiast jednak wykłoszone żyta, falowały niby płowe morze: za każdym podmuchem wiatru, jęczmiona przybierały srebrzystą barwę, nawiązane owoce obciążały gałęzie sadów, a wsie zdawały się uśmiechać zawczasu, nadzieją obfitych żniw i plonów.

Wiejskie dzieci po za chatami pasły dobytek rodzinny, zbierając się w wesołe gromadki: ptaki śpiewały w krzakach przydrożnych, a Feliks patrzał na to wszystko ze szczególnem zajęciem. Smętne tony pastuszych fujarek budziły w nim jakieś zamierzchłe wspomnienia, kiedy i on także będąc dzieciakiem, wygrywał na niej nuty rozmaite, kiedy i on zbierał kwiaty na ojcowskiej łące, lub niósł matce koło płota oberwane jeżyny.

Nie wiedzieć czemu czasy te powracały mu do myśli. Wszak bywał tutaj co rok prawie, a przecież nigdy nie wspominał tej cichej skromnej dziecięcej przeszłości, tak jak to czynił dzisiaj.

A kiedy zdala na zakręcie drogi, zobaczył drzewa okalające dom rodzicielski i dym unoszący się z komina, to znowu nie wiedzieć czemu serce zabiło mu gwałtownie. Kazał stanąć, wyskoczył z bryczki, zalecił woźnicy jechać powoli gościńcem, a sam ścieżką pomiędzy zbożami zdążał ku dworkowi.

Po prawej i po lewej stronie, wybujałe żyto ciemne i gęste jak las, zdawało mu się kłaniać pochylane lekkiemi podmuchami wieczornego wiatru. Była to godzina zachodu, Feliks wiedział iż według odwiecznego zwyczaju, rodziców powinien zastać na ganku. I skradał się tam po cichu, i pilno mu było zejść ich niespodzianie, odebrać ich uścisk, i zrzucić z piersi ciężar który je ugniatał.

Z po za kwiatowego ogródka, gdzie teraz jaśniały i pachniała rezeda, spojrzał ukradkiem na ganek. Matka była sama, wspierała głowę na ręku, i spoglądała smutnie w dal purpurową nieba. Myśli jej zapewne dążyły za jedynakiem, goniły go w krainach marzenia i tęsknoty. Czuł dobrze iż jeżeli był smutek na jej twarzy, była to jego wina.

Był tuż, a ona nie widziała go jeszcze, aż stanął przy niej oddzielony tylko kratą ganku, obrosłą wiciokrzewem.

— Matko, szepnął niepewnym głosem, bo opanowało go niepojęte dotąd wzruszenie.

Kobieta odwróciła się szybko, zrumieniona radością jak zorzą zachodu.

— Feliks, zawołała, Feliks! jam właśnie myślała o tobie.

Nie odpowiedział nic, tylko pociągnięty przez nią wszedł na ganek, pochwycił jej ręce i przyciskał do ust ze czcią i miłością.

Jakże obejście jego było różne od zwykłego konwencyonalnego powitania, co mroziło serce matczyne tyle razy, a wywoływało surową zmarszczkę na czoło ojcowskie. Ona odczuła to odrazu, i troskliwem spojrzeniem objęła jedynaka.

— Feliksie, wyrzekła, ty tutaj, zkąd tak nagle?

— Matko, zasłużyłem na podobne pytanie. Czuję to. Ale czyż dom wasz, nie jest moim domem, czyż nie mogłem zatęsknić do was, jak ptak do gniazda?

Nie tylko te niespodziane słowa, dźwięk jego głosu, spojrzenie, zastanowiło ją widocznie.

— Dziecko moje, zawołała, dzieci zazwyczaj przypominają sobie rodzinne gniazdo w strapieniu. Czy nie spotkało cię nieszczęście jakie?

— Nie! o nie, moja matko.

— A więc niech błogosławioną będzie chwila, która cię tu przyprowadziła. Siadaj tu, rozgość się.

W tej chwili wózek najęty podjechał pod bramę, a Marysia stara służąca przybiegła zabrać kuferek panicza.

Feliks powitał ją uprzejmie, z uśmiechem zadowolenia, ona należała do tych domowych kątów, które teraz przejmowały go radością.

— Tobie się coś stało Feliksie, mówiła matka śledząc bacznym wzrokiem najmniejsze słowo lub wyraz twarzy syna.

— W istocie matko, odparł poważnie, stała się zmiana wielka. Przyjechałem naprzód wyspowiadać się z niej przed wami, otrzymać przebaczenie za dawne winy i dobrą radę na przyszłość.

— Nie pamiętamy więcej win twoich dziecko moje, zawołała przygarniając ku sobie głowę syna. A co do rady, czyż my rozumiemy potrzeby i pragnienia twoje tak różne od naszych? Powiedziałeś to sam.

— Omyliłem się matko w tem jak i we wszystkiem innem, odparł smutnie, byłem na fałszywej drodze, poznałem to teraz.

Spojrzała mu w oczy, jakby nie dowierzała tym niepojętym słowom, ale źrenice jego były w zgodzie z mową. On uśmiechnął się lekko.

— Nie pojmujesz mamo jak to się stało —i ja nie pojmowałem dawniej, a jednak jestem tutaj skruszony, zmieniony do niepoznania sam dla siebie. Ja dzisiaj kocham to co wy kochacie, wierzę w co wy wierzycie, chciałbym pracować z wami, być z wami, i stać się podobnym do pragnień waszych.

Łzy zakręciły się w oczach Złocicowej. Pod tą gwałtowną przemianą syna, domyślała się serdecznej tajemnicy wielkiego cierpienia, zawodu lub miłości, a pytać nie śmiała, wolała czekać wyznania, niż je sama wyzywać. Zdawało jej się, że to wszystko co widzi i słyszy, był to tylko sen błogi, zesłany przez Opatrzność, na osłodzenie jej tęsknoty, smutków i niepokoju.

Ale gdzież ojciec, zapytał Feliks, który przywykł od dawna o tej godzinie widzieć razem rodziców.

— Ojciec wyjechał.

Był to także fakt nadzwyczajny, zdarzający się zaledwie kilka razy do roku, pan Adam bowiem nie lubił wydalać się z domu, i chyba powodowany ważnym interesem najczęściej tyczącym się drugich, nie siebie, opuszczał swoją ukochaną siedzibę.

(d. c. n.)

Walka życia.

Życia się lękam. Lękam się zawodu
Któryby zranił głębie serca mego,
I jako biedny liść świata ogrodu,
Więdnę powoli sam nie wiem dla czego!

Lękasz się walki? To zgubny brak męztwa,
Trzeba o trzeba walczyć bez przestanku,
Gdzie nie ma walki — tam nie ma zwycięztwa,
Walczyć do zmroku, od zorzy poranku.

I walczyć z losem, z ludźmi, z samym sobą,
Łamać przeszkody jedne za drugiemi,
Choćby się serce pokryło żałobą,
Choćby znużenie gniotło cię ku ziemi.

Życie bez walki, to woda stojąca,
To zwiędły kwiatek, to bez ziarna kłosy.
Życie bez walki, to jak dzień bez słońca,
To jako w puszczy martwych piasków stosy.

Eliza R.

Po to szczupak pływa w wodzie By karaś nie drzemał w chłodzie,

albo:

KONCESSYE

KOMEDYA W IV AKTACH

przez

K. Staniukowicza,

spolszczona z rossyjskiego przez **A. W. G.**

OSOBY:

Wasilkowa obywatelka ziemska lat 65.
Lida jej wnuczka lat 18.
Wasilków ojciec Lidy lat 42.
Awakumów koncesyonaryusz lat 60.
Awakumów syn, lat 26 uczeń Uniwersytetu.
Czabanów plenipotent Awakumowa lat 45.
Baronowa Szperling lat 28.
Von Szrek prokurator lat 28.
Jefimów technik lat 30.
Galkin) Inżynierowie.
Pośpiełów)
Ulitów entreprener.
Benisławski redaktor gazety prowinc. lat 35.
Czerepnin przybyły z Petersburga lat 26.
Książę Stadnicki lat 40.
Rogalski, osoba posiadająca wpływy lat 70.
Antropowa dama z miasta gubernialnego.
Eliza jej córka.
Jefimycz służący Wasilkowej lat 70.
Agata bona Lidy lat 60.
Nikanor służący Awakumowa lat 40.

AKT I.

Pokój wychodzący na taras ogrodowy, widać długi szpaler, drzwi do salonu, pianino, kwiaty i klatkę z ptakiem; poranek. Lida przy stoliku do herbaty. Z salonu wychodzi Wasilkowa.

SCENA I.

Wasilkowa i Lida.

Lida. Dzień dobry babuni, czy babunia dobrze spała? (*Całuje Wasilkową*).

Wasilkowa. Doskonale a ty?

Lida. Wybornie! po wczorajszej przejażdżce czółnem, takem się zmęczyła, że spałam jak zabita. (*Podaje Wasilkowej filiżankę z herbatą i drugą nalewa*). Ach wybacz mi, babciuniu, moja najdroższa, zawsze muszę rozlać, albo upuścić, taka jestem niezręczna!

Wasilkowa. Oj, Lido, Lido! powiedz mi, moja droga, o czem ty myślisz? Nawet dla swojej babci nie potrafisz porządnie podać herbaty? Gdy pójdziesz za mąż i tak będziesz robić, to mąż wcale nie będzie z tego zadowolony.

Lida. Już taka roztrzepana jestem babciu! (*spogląda figlarnie na Wasilkową i uśmiecha się*). O czem ja myślę? Czy koniecznie babciu chcesz wiedzieć? O bardzo wielu rzeczach!... o tak wielu rzeczach, że mi nawet i opowiedzieć trudno. Oto babciu filiżanka do samego wierzchu napełniona, tak, jak babcia lubi... Rozlałam troszkę, ale tylko jedną kropelkę! nie karz za nią Lidę! (*śmieje się*).

Wasilkowa. Ach ty pusta głowo, w której tylko wiatry wieją!...

Lida. To prawda że wiatr wieje (*wstaje i chodzi po pokoju*). Myślę czasem że ty babciu, jesteś taka dobra, a niesłusznie mnie łajesz (*siada i wstaje żywo*).

Wasilkowa. Oj ty podchlebnico!...

Lida. Czasem znowu przypomnę sobie Daszę: jakże się cieszę, że jest szczęśliwą! Gdy biegam po ogrodzie to mi najlepsze myśli przychodzą, a jednak czasami serce mi się ściśnie!... Dlaczego? sama nie wiem! płakałabym... i radowała się zarazem, świat cały objęłabym ramionami i przycisnęła do serca. Lecz wkrótce... gdy sobie przypomnę, że nic nie umiem, nic nie rozumiem, jestem tylko śmieszką i głupiątkiem, jak babcia mówi... łzami się zaleję i tak mi się zrobi smutno!... Gdy zaś spojrzę na słońce, jak ono jasno przyświeca, uśmiecha się, jak jaskółki szczebiocą, wróble świerkają i wszystko w około cieszy się życiem, dla czegóż bym i ja nie miała się śmiać? Wtenczas w sercu robi mi się błogo, chciałabym pierwszego lepszego ucałować! To znowu babciu!...

Wasilkowa. Uniosłaś się!... Siadaj i daj mi jeszcze herbaty, moja ty marzycielko, tylko uważaj, ażeby nie rozlać. . wiesz, że ja tego nie lubię!...

Lida. Nie rozleję, babciu!...

Wasilkowa. Zupełnieś się wdała w ojca, który młody wiek przemarzył i dwa majątki przepuścił!...

Lida. Dobry ojciec!...

Wasilkowa. Dobry, tak, dobry, ale wietrznik! Pojechał do Petersburga i choćby słówko o sobie nie doniósł!

Lida. Zapewne ojczulek zatrudniony.

Wasilkowa. Zatrudniony, zatrudniony! Najprędzej w karty się zgrywa!...

Lida (*z uniesieniem*). Babciu!...

Wasilkowa. Co tam babciu i babciu!... Oczekuję tylko jak znowu napisze: dług honorowy,— przegrałem... niezwłocznie przysyłajcie!...

Lida. No i cóż? i babcia pośle!

Wasilkowa. Głupstwo! a czy ja kuję pieniądze?

Lida (*śmieje się*). Ha, ha, ha! Co mówisz, babciu? Wystawiam sobie, że babcia jest kowalem... ha, ha, ha, babcia kuje... kuje złoto!...

Wasilkowa. Czy to bardzo zabawne? ty dzieciaku?

Lida. Czy nieprawda, że wczoraj wieczorem powiedział nasz uczony pan von Szrek, że ja... (*naśladując*) jestem jędrną, samodzielną naturą i rozumną główką (*śmieje się*).

Wasilkowa. Tak z dobrego serca wyraził się...

Lida. A zatem skłamał, skłamał babciu?

Wasilkowa. Co ci na tem zależy? Ale powiedz mi, o kim jeszcze myślisz?

Lida. Znowu mnie babciu z wysokości marzeń moich strącasz... mówisz, że jestem marzycielką...

Wasilkowa. Czy o panu Szrek myślisz także? Wszak prawda?... No, przyznaj się?

Lida. Myślę... jakżebym nie miała o nim myślić myślę nawet że naprożno robi przypuszczenie, ażebym mogła kiedyś zagustować w jego wycackanej, różowej i bielutkiej buzi!...

Wasilkowa. Lido, Lido! jak się ty wyrażasz?..

Lida. Albo, jak on babciu mówi... przepraszam... nie mówi, ale liczy każde słowo (*naśladując*). Wymiar kary na przestępcę odnośnie do walczących przeciwko niemu dowodów ujawnionych.., ha, ha, ha. Zapomniałam dalej... bom ja nie uczona!

Wasilkowa. Przestań, Lido!... Nie należy wyśmiewać się...

Lida. A dla czego babciu onegdaj sama się śmiała z Jefimowa, że ani stać, ani siąść nie umie... Doprawdy, babciu, nie mogę powstrzymać się, gdy tylko przypomnę sobie Szreka... (*śmieje się*). Jak on śmiesznie się wyraża. Nigdy nie mówi naturalnie, z serca, tylko zawsze: kara, postęp, cywilizacya... już nie mogę więcej — zmęczyłam się!...

Wasilkowa. Lido! czy się nie domyślasz czasem dla jakiej przyczyny tak często nas odwiedza pan Szrek?

Lida. Ażeby z babcią grać w pikietę!...

Wasilkowa. Tak! (*Spogląda na Lidę — Lida zanosi się od śmiechu*). To nie dobrze, Lidziu, on może myśleć!...

Lida. Nie może nic pomyśleć, bo mu się nieraz w oczy śmiałam!

Wasilkowa. To niedobrze!

Lida. Wszystko niedobrze u ciebie... Czym ci dokuczyła babciu?

Wasilkowa. Co znowu?

Lida. No, no, nie gniewaj się, moja najdroższa babciu! (*wstaje i całuje z uczuciem*). Zgoda, tak zgoda?

Wasilkowa (*śmieje się*). Nie na długo pewno, do pierwszej sprzeczki?

Lida. Pozwól no babciu, zapomniałam zaprezentować ci się w nowej sukni, którą mi dziś zrana przyniesiono. Sprzątnijcie od herbaty! (*woła*) Jefimycz! — A to trzpiot ze mnie, krzyczę, kiedy sama mogę zawołać! (*wybiega*).

SCENA II.

Wasilkowa sama.

Otóż to wiek młody! Chciałaby sama wszystkich uścisnąć i ucałować. Jakże jej przykro będzie, gdy rzeczywistość przedstawi się jej w całej prawdzie. Zgubi to dziecię! Szrek kocha ją bardzo... Potrzeba z nią stanowczo pomówić... On dzisiaj czeka na odpowiedź... ale czy mu zrobi nadzieję?... wątpię!... Lida żartuje z niego, a tam gdzie się lekceważy kogo, nie ma miłości! Jednakże szkoda!

SCENA III.

Wasilkowa i Jefimycz.

Jefimycz (*kłania się*). Moje uszanowanie pani. Czy pani każe sprzątnąć?

Wasilkowa. Jak się miewasz? Sprzątnij... Czyś najął robotników?

Jefimycz. Nie pani, za drogo żądają.

Wasilkowa. Dla czegóż to?

Jefimycz. Wszystkich ciągną na tę przeklętą drogę. Niedawno główny komisant przejeżdżał... czterystu ludzi zwabił..,

Wasilkowa. Czy Czabanów przyjeżdżał?

Jefimycz. Tak jest, podawał robotnikom zadatki i książki zarobne, a ludzie głupi...

Wasilkowa. Jakto głupi?

Jefimycz. Zdarza się... książka pozostanie książką, a robotnik darmo całe lato robi... Zapisują kary i inne... głupota nasza...

Wasilkowa. Niedorzecznie mówisz... Czy to może być ażeby Awakumów, milijoner, oszukiwał robotników? A jakże z najemnikami zrobimy?

Jefimycz. Przyrzekli przyjść ze wsi Wesołych-Ługów! (*sprząta ze stołu*). Chciałem przedstawić W-nej pani, co się tyczy Archipa?

Wasilkowa. Zrobić z niemi rachunek i oddalić.

Jefimycz. Dobrze!... (*znowu sprząta filiżanki*). tylko on, proszę pani nie jest winien...

Wasilkowa. Jakto nie winien, że konie ukradli?

Jefimycz. Zasnął mocno, proszę pani i konie wyprowadzili...

Wasilkowa. Przy takim stangrecie, wszystkie konie ukradną!...

Jefimycz. Dla mnie wszystko jedno, ale gdyby przy stajni był lepszy zamek.

Wasilkowa. Zawsze pleciesz! Lepszy zamek! Oblicz się zaraz z Archipem!...

SCENA IV.

Ciż sami i Lida.

Lida. (*wbiega, ubrana w nową letnią suknię, we włosach ma świeże astry*). Z kim obrachunek babciu? Cóż, dobrze leży suknia? (*zbliża się do Jefimycza*). Jefimyczu, czy dobrze?

Wasilkowa. Ty trzpiocie!

Jefimycz. Jak księżna, pani wyglądasz.

Lida. Babciu, babciu! obejrzyjno z tyłu (*obraca się*). Czy dobrze leży? Wszak wybornie? Babciu, kogo kazałaś oddalić? (*szybko do Jefimycza*). Jefimyczu, kogo?

Jefimycz. Archipa pani, stangreta.

Lida. Babciu, z jakiej przyczyny? On taki dobry!..

Wasilkowa. Wszyscy u ciebie dobrzy!... a ukradli mu w czasie snu... parę koni karych!...

Lida. No to co? Babcia kupi inne; czy prawda Jefimyczu?

Jefimycz. Mówiłem, że zamek u stajni...

Wasilkowa. Co ty ciągle z tym zamkiem?... i ty także winien jesteś, tyś całą służbę rozpuścił... (*Jefimycz gorliwie się krząta około stołu*)

Lida. Babciu, już dosyć!... Patrz no, jaki to dzień jest przyjemny, jaka rozkosz w naturze a babcia się gniewa! (*bierze Wasilkowę za rękę i całuje*). Jak to można się gniewać? Przebacz babciu Archipowi!...

Wasilkowa (*surowo*). Lido!...

Lida. E! babciu... dla czego udajesz taką surową?

Wasilkowa. Dosyć, dosyć!...

Lida. Jefimyczu, babcia przebaczyła Archipowi, (*deklamuje*): wymiar kary na winnego, odpowiednim jest donośności dowodów (*śmieje się*) a dowodów nie ma... czy prawda, babciu?

Wasilkowa. Otóż znowu zaczęła!...

Lida. (*do Jefimycza*). Niechaj Archip po obiedzie zaprzęże siwe konie do faetonu... Czy pozwolisz babciu!..

Wasilkowa. Jeszcze gdzie?...

Lida. Z tobą babciu, przejechać się do lasu!... Będziemy konwalije zbierać!... Czy słyszysz Jefimyczu?...

Jefimycz. Dobrze (*zabiera samowar i odchodzi*).

SCENA V.

Wasilkowa i Lida.

Wasilkowa. Lido, kiedy ty będziesz mieć rozum, wszak masz już lat ośmnaście?

Lida. (*Przechadza się po pokoju*). Kiedy?... (*Zatrzymuje się i zamyśla*). Jednakże potrzeba być rozumną? A ty, babciu, kiedy byłaś młodą?

Wasilkowa. Dzisiaj odwiedzi nas pan Szrek.

Lida. I Awakumów także obiecał przyjechać (*zbliża się do klatki*) pik, pik — pik, zamilkłeś znowu.... spiewajże, mój ty mały.... śpiewaj głupi czyżyku!....

Wasilkowa. Awakumów mówisz? Po co?

Lida. Pik—pik—pik, nie śpiewa babciu (*zwraca się*). Jak to po co?

Wasilkowa. I ty myślisz. Że Awakumów...

Lida. (*pomieszana*). Że Awakumów....

Wasilkowa. Lidziu, moja duszko, pan Szrek jest dobrym i szlachetnym człowiekiem.

Lida. (*żywo*). Babciu, moja najdroższa, dosyć!..

Wasilkowa. Czy ty nie pojmujesz, że Awakumów nie dla ciebie?

Lida. Co znowu? (*Siada przy Wasilkowej*).

Wasilkowa. On jest synem milijonera i jeżeli bywa u nas często, to tylko dla przepędzenia czasu!...

Lida. (*niecierpliwie*). Więc cóż?

Wasilkowa. (*powolnie*). Oto to, że na niego nie ma co rachować!....

Lida. Babciu, babciu!...

Wasilkowa. I on nie dobrze robi, że nas często odwiedza... Cóż ty możesz znaczyć dla niego, tego petersburgskiego panicza, dziedzica kilku milijonów?..

Lida. (*podnosi się*). Babciu, albożja nie warta jestem milijona?... Cóż, czym nie warta? (*śmieje się*).

Wasilkowa. Ty zawsze żartujesz!... lecz czy nie widzisz że cię pan Szrek kocha?...

Lida. (*z czuciem*). Biedny!... Czy doprawdy kocha?... A ja prostaczka nie wiedziałam!... myślałam, że tak sobie, z nudów się zalecał!...

Wasilkowa. Gdybyś go pokochała?...

Lida. Babciu, zlituj się!...

Wasilkowa. Szczęście twoje byłoby ustalonem. Wiesz że cię kocham; gdybyś nie była taką miłą przylepką, w której głowie wiatr wieje, nie radziłabym ci: lecz wiesz, czego się obawiam Lido? Jeżeli ty, Boże broń, pokochasz kogoś niespokojnego, wymagającego, to ciebie i siebie zamęczy. Teraz młodzież jest taką, a do Szreka łatwo przywiążesz się, bo kto dobry, szlachetny i....

Lida. I tak bezinteresownie zapatruje się na świat, jak ja! Jakież tu niebezpieczeństwo moja babciu?...

Wasilkowa. Myśmy Lido wychodziły za mąż w innych warunkach, a chociaż czasem ciężko było, ale nie zrywaliśmy związków familijnych; teraz zaś mężczyzna uniesiony namiętnością ożeni się, później, pocznie zastanawiać się i każdą drobnostkę w żonie krytykować — mężowi ciężko i żonie także. Jeżeli mąż przestanie kochać i opuści cię moje dziecko, cóż ci wtenczas może nagrodzić za zawód poniesiony w życiu?...

Lida. (*zamyślona*). Dla czego babciu, taki smutny obraz mi przedstawiasz?

Wasilkowa. Osobliwe czasy są teraz, Lido — szczęście familijne jest zachwiane!...

Lida. Co się tak babcia śpieszy?... Mogę pomyślić, że chcesz się mnie babciu jak najprędzej pozbyć...

Wasilkowa. Nie żartuj, moja droga!... posłuchaj mnie... pan Szrek prosił o twoją rękę...

Lida. (*wstaje wzburzona*). Nigdy babciu, nigdy!...

Wasilkowa. Zastanów się Lido!... przecież nie zaraz za mąż...!

Lida. (*rzucając się na szyję Wasilkowej*). Nie.... nie... ani słowa więcej.... Boję się... on mnie przestrasza swoją akuratnością, punktualnością i przymiotami których ja nie posiadam... Ach, daj pokój babciu, nie gub mnie!... I ja kocham.... (*po cichu*). kocham babciu, Awakumowa!

SCENA VI.

Ciż sami i Jefimycz.

Jefimycz. Panowie, Awakumów i Czabanów przyjechali... czy pani przyjmuje?

Wasilkowa. (*z czułością patrzy na Lidę i głaszcze ją po głowie*). Jakże Lido, czy przyjąć?

Lida. Dla czegóżby nie?

Wasilkowa. Prosić!

Jefimycz. (*spogląda na Lidę, uśmiecha się i rusza ramionami*). Dobrze! (*odchodzi.*)

Lida. Pójdę do ogrodu babciu!...

Wasilkowa. Czy on ciebie kocha?

Lida. Nie wiem babciu!... Czy to nie wszystko jedno? Ja go kocham!... (*całuje Wasilkowę i wybiega*).

SCENA VII.

Wasilkowa sama.

Biedna ta Lida!... a ja stara, nie wiedziałam, że wnuczka zajęła się.... co to będzie? Milijony nie zawsze przynoszą szczęście!....

SCENA VIII.

Wasilkowa, Awakumów syn i Czabanów.

Awakumów. Daruj pani że tak wcześnie, ale jeździliśmy oglądać roboty i wstąpiliśmy — przy tem mamy interes.

Wasilkowa. Proszę panów! Interes zapewne z panem Czabanowem.

Czabanów. Z powodu zajęcia ziemi pod kolej, możebyśmy go mogli skończyć?..

Wasilkowa. Bardzo chętnie, tylko mnie panowie nie krzywdźcie.

Czabanów. He, he, he, moja pani!... czy to teraz można krzywdzić?.... (*śmieje się, podnosząc palec do góry*). Prawo, dzięki Bogu!...

Wasilkowa. Czy pan zawsze się nie zgadzasz?

Czabanów. Ja jestem podwładnym.... postępuję stosownie do rozkazu.... Jeżeli pan pozwoli.... zaczniemy... (*wyjmuje plan*).

Wasilkowa. (*do Awakumowa*). Nie lubisz pan tracić czasu.

Awakumów. Tak, umiem chodzić około interesów... (*przybliża się do okna*).

Czabanów. Pod drogę żelazną zajęto z własności pani 64 dziesiatyn ziemi... z których.

Awakumów. Przepraszam że przerywam, jak zdrowie panny Lidy?

Wasilkowa. Dziękuję, jest zdrową... a zatem panie Czabanów, dasz pan równo po 68?

Czabanów. Mój plan....

Wasilkowa. Proszę panów do gabinetu, tam i mój plan jest także.

Czabanów. Jak się pani podoba...

Awakumów. Ja pójdę do ogrodu, czy pani pozwoli?

Wasilkowa. Dla czegóżby nie? No panie Czabanów, wybacz, znowu będę się targować! (*idzie do innego pokoju*).

Czabanów. (*idzie za nią*). Proszę o naznaczenie stosownej ceny!...

Wasilkowa. (*we drzwiach*). Zwyczajna, która się tutaj praktykuje (*wychodzi*).

(*d. c. n.*)

Z WYCIECZKI LETNIEJ

ZA GRANICĘ

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

II.

MARIENBAD.

Przed kilkoma laty, gdy nie istniała jeszcze kolej, łącząca z jednej strony Pragę i Pilzno, a z drugiej Karlsbad z Marienbadem, droga do obu tych miejsc z Prągi była uciążliwą, gdyż trzeba było odbywać ją dyliżansem w ciągu kilkunastu godzin. Obecnie z Pragi do Karlsbadu jest 6, a do Marienbadu 7 godzin jazdy koleją. Wszelako jadący do któregobądź z owych dwóch miejsc prosto z Warszawy, nie po-

trzebują jechać na Pragę, lecz na Drezno przez Wrocław lub na Berlin.

Północno-zachodni kąt czeskiego królestwa, pomiędzy Saksoniją i Bawaryą, u podnóża Gór Sosnowych (Fichtelgebirge) i Czeskiego Lasu położony, słynie mineralnemi źródłami. Trzy najważniejsze miejsca lecznicze: Karolowe Wary (Karlsbad), Franciszkowe Łaźnie (Franzensbad) i kąpiele Maryi (Marienbad), zajmują szczyty równobocznego niemal trójkątu, stanowiącego płaskowzgórze zwane krajem Egerskim, którego stolicą jest miasto Eger, (po czesku Cheb), słynne zabójstwem Walensteina w 1634 roku. Kraj ten zaludniają wyłącznie Niemcy, tak zwani czescy (deutsch Böhmen), którzy mówią odrębnym nawet egerskim dyalektem niemczyzny, odznaczającem się jakiemś szerokiem roztwieraniem ust i przewagą samogłosek *u* i *o*, co nadaje tej mowie pewny ton jakby żabiego skrzeczenia. Niewątpliwie nie wszyscy zamieszkali tu Niemcy są osadnikami z wielkiej ojczyzny niemieckiej: znaczna ich część to zniemczeni Słowianie, czego dowodzą nazwiska (zwłaszcza mieszczańskie) często zakończone na *ski* (sky), lub takie jak Slowik, albo dziwacznie z niemiecka przekręcone i dziko brzmiące jak np. Kobrtsch (Kobierz?) Gschihay (Żygaj?) i t. p.

Marienbad leży dość wysoko, bo 1912 stóp nad powierzchnią morza, w dolinie otoczonej górami, lasem sosnowym porosłemi. Chociaż źródła tutejsze znane były (jak przynajmniej zapewniają autorowie monografji o Marienbadzie), już w wieku XVI, wszelako jeszcze na początku wieku bieżącego, miejscowość ta była niemal dziką i mało przystępną. Źródła zwano pierwotnie „ausschwitzkiemi“ (Słow. Oświec-Auschwitz?), dopiero od lat kilkudziesięciu nazwano je mianem dzisiejszem na cześć Maryi Panny. Należą one bowiem wraz z całą miejscowością, do klasztoru kanoników regularnych w poblizkiem mieście Tepl (oczywiście słowiańskie Ciepłe). Kronika miejscowa ze szczególną czcią przechowuje pamięć o doktorze Nehr „medycznym założycielu Marienbadu“ i o księdzu Reitenbergerze, przełożonym klasztoru, który bardzo przyczynił się do upiększenia tego miejsca. Wsławił się tu także dr. Heidler, któremu pomnik w kształcie piramidy wystawili w parku wyłącznie tylko „wdzięczni Polacy“. Grati Poloni, jak głosi napis łaciński.

Sławny Goethe (dla Niemców fakt ten dużo znaczy) przebywał tu niegdyś dwukrotnie; po raz pierwszy w roku 1822 gdy Marienbad jeszcze się tylko zabudowywał. Wielki poeta w listach swoich z Marienbadu do przyjaciół pisanych, maluje gorączkowy pośpiech, z jakim wówczas krzątano się około budowli i porównywa wznoszący się śród gór i lasów Marienbad do owych miast amerykańskich, pośpiesznie w głębi puszcz improwizowanych. Dziś Goethe byłby nie poznał Marienbadu: jest to bowiem miasto wykwintne, czyste, o wspaniałych gmachach, pełne możliwego komfortu.

Głównych źródeł leczniczych jest tutaj trzy: najbardziej używane źródło krzyża (Kreuzbrunnen), silniejsze jeszcze w swych skutkach źródło Ferdynanda i źródło leśne (Waldquelle) prawie wolne od soli glauberskiej, a więc zbliżone do Salzbrunskich. Jest jeszcze kilka źródeł pomniejszych jak żelazne Ambrożego i t. d. Podobno nawet w ostatnich czasach odkryto jeszcze jedno — źródło Aleksandryny, ale o tem dotychczas nic nie słychać.

Panegiryści Marienbadu podnoszą tę okoliczność, że Marienbad posiada rozmaite źródła, a więc najrozmaitsze, ba nawet (podług broszury dra Kischa) niemal wszystkie ród ludzki trapiące choroby leczy radykalnie: podobno jednak tę niezłomną wiarę posiadają, a przynajmniej szerzą ci, którym chodzi głównie o to, ażeby jak najwięcej pacyentów przybywało do Marienbadu, żeby jak najdłużej tam bawili i po kilkakrotnie wracali.

Niewątpliwie woda mineralna może korzystnie działać na organizm, ale widoczne polepszenie, bądź co bądź, zdarza się rzadko, a tak rozpowszechnione obecnie kuracye mineralne są raczej wypływem mody niż doświadczonego ich skutku. Owo drobiazgowe usystematyzowanie kuracyi wodnej—owe przepisy, określające ilość kubków. uncyi i t. d., może nawet nadwerężają leczniczą siłę przyrody. Przepisy wychylenia jednego kubka lub jednej uncyi mniej lub więcej, w tym lub owym wypadku, tchną nawet czasem szarlataneryą. Komicznie nieco wygląda też pielgrzymka do Kreuzbrun w szeregu, dla uniknienia natłoku urządzona: każdy przystępuje jakby do komunji do cudownego wrzekomo źródła, z mocnem pragnieniem i mocną wiarą. Są osoby, które kilka razy dziennie popijają solankę: rano, po południu, wraz po obiedzie i do poduszki i chociaż czynią to zwykle osoby kolosalnej tuszy, wypada jednak wątpić, czy tak silne osłabienie i pochłonięcie tak wielkiej ilości soli i żelaza może być korzystnem dla organizmu. Fanatycy piją aż do chwili wyjazdu, biorą nawet jeszcze ze sobą flaszki z wodą do wagonu.

Kapłani i augurowie tej świątyni, niezbyt ponętne Heby pompujące nektar — kobiety w Marienbadzie w ogóle szpetne—a nawet posługacz podający wielkim panom kubki — wszyscy pełnią swoją czynność z pewnem namaszczeniem i nabożeństwem, gdyż ta daje im krajcary i guldeny.

Lekarzy w Marienbadzie coś około dwudziestu. O niektórych z nich różne chodzą wieści: tak np. jeden ma chwalebny zwyczaj rzucać w twarz pacyentowi, zbyt małe, zdaniem jego honoraryum; inny znowu kazał pewnej pani przychodzić do siebie codziennie i potem zażądał honoraryum w ilości 60 guldenów i t. d. Często bardzo skarżą się chorzy, że pogorszenie się stanu ich zdrowia uważanem jest przez lekarzy za dobrą oznakę, gdyż wrzekomo jest to zwykła zapowiedź dobrego skutku; zresztą na skargi chorych lekarze najczęściej odpowiadają radą przedłużenia pobytu lub powiększenia ilości kubków. Niezmiernie rzadko trafia się, ażeby który lekarz kazał zaprzestać kuracyi, jako widocznie w skutkach nieodpowiedniej lub szkodliwej, albo żeby polecił opuścić Marienbad, bo... któżby ludzi wyprawiał od siebie? A jednak musi przecie się trafiać, że komuś czasem kuracya nie służy.

Nie zapuszczając się dalej w materyę lekarską, muszę jednak zaznaczyć podziw, jakim sposobem jeden i ten sam środek może służyć i dla osób tuszy kolosalnej, pragnących schudnąć i dla osób wątłych i szczupłych, potrzebujących wzmocnienia. Powiedzą może, że w Marienbadzie są rozmaite źródła, ale każdemu, kto był tam wiadomo, że wspólną podstawą kuracyi, tak dla otyłych jak dla szczupłych, jest ów sławny Kreuzbrunn: ba, nawet niektórzy z tamtejszych lekarzy każą na wzmocnienie osobom słabym popijać po trzy kubki z osłabiającego jeszcze bardziej źródła Ferdynanda, wyznaczając dla obydwu kategoryi pacyentów jednostajną dozę.

Przed parą właśnie miesiącami w naszych gazetach pojawiła się wiadomość, jakoby Rada Lekarska w Petersburgu uznała, po rozbiorze chemicznym, szkodliwość wody ze źródła Kreuzbrunn i sprzedaż takowej zabroniła: w skutek tego padł popłoch na lekarzy w Marienbadzie, obawiających się zmniejszenia napływu gości. Słyszałem, jak utrzymywano, że to redaktor Gazety Karlsbadzkiej, mszcząc się wrzekomo za to, że mu nie chciano płacić za reklamy dla Marienbadu, puścił ową pogłoskę; nie wiem czy aż tak daleko sięgają wpływy karlsbadzkiego redaktora, w każdym razie wartoby było kwestyę tę wyjaśnić.

Rzecz o leczniczej stronie Marienbadu zakończę anegdotką, wyjętą z jednego francuzkiego dziennika. Był w Paryżu aktor niezmiernie chudy, co przeszkadzało mu występować stosownie w niektórych rolach. Wyprawiono go więc do jakichś wód we Francyi, ażeby tam nabrał nieco ciała. Przybywszy na miejsce, nasz artysta podsłuchał przypadkiem rozmowę jakiejś damy, kolosalną tuszą obdarzonej, z lekarzem kąpielowym, który ją zapewniał, że po kilku tygodniach kuracyi wróci do domu szczupłą i wiotką, jak szesnastoletnia panienka. Usłyszawszy to, aktor coprędzej spakował swe rzeczy i wrócił do Paryża. „Jak to, pan już wróciłeś, nie odbywszy kuracyi?“ zapytał go lekarz teatralny. „Tak jest, odpowiedział artysta, dowiedziałem się bowiem że wody, któreś mi pan zalecił, służą po części dla osób otyłych, po części dla szczupłych; lękałem się więc ażeby jedna np. prawa połowa mojego ciała nie utyła zbytecznie, a druga nie schudła jeszcze bardziej i dla tego uciekłem ztamtąd coprędzej.“ *(c. d. n.)*

Przegląd literacki.

Teorya stylu polskiego, przez J. Kamocką. Warszawa 1875.

Autorka mówi w przemowie, że dzieło jej jest tylko szkolnym kursem, że zatem nie ma pretensyi do oryginalności ani do uderzających jakichś pomysłów.

Zapewne że lepiej jest daleko, gdy książki przeznaczone *do użytku* (nie *dla* użytku jak mówi pani K. na str. I) młodzieży uczącej się, wolne są od nowatorskich zachcianek i nie przyjętych jeszcze ogólnie osobistych pomysłów; wszelako, podając rzeczy już ustalone, które w nauce sobie prawo obywatelstwa zdobyły, najbardziej nawet elementarne i najskromniejsze podręczniki szkolne mogą podawać w należyty sposób i w należytych dozach najnowsze zdobycze badań co do treści i najnowsze ułatwienia w klasyfikacyi i metodzie co do formy. Nie szkodziłoby więc może, gdyby i w niniejszej pracy trochę mniej było konserwatyzmu, a nieco więcej samodzielności i ułatwień. Dużo tu bowiem rzeczy podstarzałych, które wobec nowszych wyobrażeń o języku i stylu, ostać się nie mogą. Tak np. ów odwieczny podział stylu na prosty, średni i górny, wzięty z retoryki Cycerona, właściwie stosował się do starożytnego krasomówstwa i dziś dla wszystkich tak różnorodnych gatunków płodów literackich jest już za ogólnikowym i niewystarczającym; nadto to podział taki, który z natury rzeczy, nie dopuszcza choćby jako tako sformułowanych określeń. Czy może być np. prostszy dobór wyrazów jak ten, który znajdujemy w improwizacyi Konrada lub w tym nieśmiertelnym ustępie z Pana Tadeusza, gdzie opisana gra Jankla na cymbałach—a jednak czy tam *prosty* styl nie jest zarazem *wzniosłym?* Czuła to i sama autorka, pisząc uwagi o niezliczonych właściwościach stylu indywidualnego i narodowego. Tylko co do tego ostatniego, trudno nam znowu zgodzić się na tak wybitnie odróżniony styl francuzki, niemiecki, albo i choćby na ogólny jakiś *styl polski!* Mówimy wprawdzie o stylu *wschodnim*, jako nacechowanym niby wyszukanością i bogactwem przenośni, ale pomijając już nieokreśloność wyrażania *wschodni* (stosujemy je w tem znaczeniu chyba tylko do *poezyi* perskiej i arabskiej), przecie i w innych literaturach znajdujemy próbki podobnych i nawet przewyższających jaskrawości: dość np. przypomnieć niektóre utwory Eschylosa, Apulcyusza, Wiktora Hugo, Zygmunta Krasińskiego i Deotymy: a jednak styl tych pisarzy nie jest i nie był w sprzeczności z duchem języków, których używali i niekoniecznie był wypływem naśla-

downictwa. Któżby mógł np. widzieć styl *francuzki* zarówno w dziełach Lamenneis'go jak Berangéra, styl *niemiecki* u Kanta i Heinego? Dalekoby nas zaprowadził rozbiór określeń, podanych przez autorkę w tym przedmiocie, podobnie jak i w następnych uwagach o różnicy stylu według treści i t. p. Szkoda tylko że autorka nie spróbowała jakkolwiek zestawić rozmaite owe cechy stylu ogólne i szczególne: wystawić np. związek i zależność pomiędzy właściwym językowi i narodowi charakterem z jednej strony, a pomiędzy indywidualnością wymaganiami rodzajów literackich z drugiej strony—mogłoby to być zajmujące i niekoniecznie byłoby nieprzystępne, nawet dla uczniów: bez tego zaś owe luźne nazwy i szeregi jakoś przedstawiają się chaotycznie i bez związku. Niewiadomo nawet, co w tych szeregach i nazwach równoległe, podrzędne, a co zależne i zostaje w stosunku rodzaju do gatunku lub odwrotnie.

Czasem *styl* i *język* u autorki to jedno: *poprawność* bowiem np. jest zaletą, a raczej koniecznym warunkiem języka, nie zaś stylu. O takim pisarzu, który nie włada językiem, popełnia błędy, używa wyrazów obcych i t. d. mówimy po prostu, że nie zna języka i ganimy jego język, nie zaś styl. Rzecz o budowie okresów należy również jeszcze do gramatyki— do składni — a rzecz o postaciach retorycznych, dawniej niezbędna w trącącej nieco scholastyką retoryce, bardzo niedokładna u autorki; inne części owej retoryki ogólnej również albo rozpierzchłe i pobieżnie traktowane, albo pominięte. Wykazy wyrazów obcych ułamkowe, przytoczone wprawdzie dla przykładu, ale niezawsze z należytym wyborem i z pomyłkami: wyraz np. *chryzolit* nie jest wschodni, lecz grecki (str. 54), i w ogóle wyrazy greckie nie podane jako takowe, lecz zestawione z innymi (str. 53), wyraz *rezon* uwzględnia autorka, choć go pochwalić trudno. Takiego rodzaju zalety jak *powaga*, *żywość* i inne, głównie według dawnych dzieł stylistycznych jak Sierocińskiego przez autorkę podane, bardzo względnie określić się dają. *Kwiecistość* uważa autorka za wadę (str. 81), zapewne rozumiejąc pod tym wyrazem to samo co *napuszoność* i *nadętość*, a przecie *kwiat* to najpiękniejsza rzecz na ziemi i co do nas, kwiecistym jest dla nas zarówno Mickiewicz jak Skarga, Krasiński jak Pol i Kremer, a znowu *napuszoność* i *nadętość* może być niekoniecznie w górnym stylu, lecz w najbardziej prostym i płaskim: i tutaj ostateczności stykają się, jak mówią Francuzi.

Co do harmonii naśladowniczej (onomatopea str. 75) niech mówi co chce autorka, ale nam się zdaje, że oprócz niektórych pojedyńczych wyrazów jak np. brzęk, chrzęst, kukać, krakać i t. d. i oprócz takich umyślnie skleconych niebardzo smacznych jak np.:

toczy się po posadzce z szelestem liść suchy,
albo: warkoczącego młyna tłukące się koło.

Zresztą owa harmonia naśladownicza ma przeważnie siedlisko w naszej wyobraźni. Rozumiejąc bowiem znaczenie wyrazów, a więc i wyobrażając sobie oznaczane tymiż wyrazami brzmienia i dźwięki, wyobrażamy także sobie że istnieje ścisły związek pomiędzy brzmieniem całych wierszy lub ustępów, malujących pewne odgłosy. Związek pomiędzy brzmieniem wyrazu i odgłosu oznaczonego przezeń przedmiotu zapewne istnieje często w większej lub w mniejszej mierze, choć nie istnieje zawsze, gdyż wszystkie wyrazy nie są i nie mogą być harmonią naśladowniczą (jak to utrzymują jednak niektórzy, głosząc teoryą której Max Müller nadał szydercze miano bau-wau teoryi), ponieważ wchodzi tu i symbolizm i inne jeszcze stosunki brzmienia do przedmiotu, mało jeszcze przez lingwistykę zbadane; najczęściej jednak, powtarzamy, wyobraźnia widzi tam ścisły związek, gdzie zaledwie są jego ślady, albo też go wcale nie ma.

Tak np. w przytoczonych przez autorkę wierszach:

A całe niebo blaskiem się uśmiecha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia,ucicha.

w tych wierszach, zaprawdę, tylko żywa wyobraźnia może dojrzeć harmonią naśladującą uśmiech, oddech lub usypianie. Bardzo jeszcze wiele możnaby powiedzieć o książce pani K. ale poprzestajemy już na tych kilku uwagach. Ostatecznie główną wadę tej pracy stanowi niedokładnie usystematyzowanie wraz z nagromadzeniem różnorodnych, czasem przestarzałych i chwiejnych podziałów, nazw i cech stylu.

Wszelako dziełko nie jest także bez zalet: pracowicie wybrane próbki i wzory stylowe z dzieł dawniejszych i nowszych pisarzy mają niepoślednią wartość pedagogiczną, a szlachetne zamiłowanie przedmiotu, na każdej karcie przebijające, zasługuje na jak największe uznanie i może być przykładem do naśladowania. Ktoś może, co w tym przedmiocie potrafiłby zdobyć się na coś lepszego, woli oddawać się pokaźniejszym i zyskowniejszym przedmiotom lub zajęciom; p. K. jako „kobieta i nauczycielka" i skromną praktyką swoją pedagogiczną i układnymi według sił swoich podręcznikami złożyła niepośledni grosz swój. Może ona powiedzieć o sobie słowami łacińskiego poety:

Feci quod potui faciant meliora potentes
(Uczyniłam co mogłam, niech co lepszego uczynią potężni).

Książka zaś pani K. przy umiejętnem użytkowaniu przez kompetentnego nauczyciela—rzecz nieodzowna przy każdym podręczniku, który nigdy nauczyciela zbytecznym ani lepszym nie uczyni—książka ta może zawsze przynieść niemało pożytku.

W.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Blachy do prania bielizny.

Oszczędną a tanią rzeczą jest nowo wynaleziony przyrząd do tarcia bielizny w czasie jej prania. W Wiedniu przyrząd ten odkąd się pojawił, zyskał sobie taką wziętość w krótkim czasie, że niemal w każdym domu, a mianowicie też w publicznych zakładach, gdzie ciągle pranie ścierek, fartuchów, bielizny stołowej i t. d. tyle czasu zabierają zaprowadzony został.

Oszczędzając niezmiernie czas i ręczną pracę, ma mieć podobno i tę jeszcze wielką zaletę, że bielizna tarta o niego mniej się niszczy niż prana zwykłym sposobem. Własne doświadczenie oparte na użyciu przyrządu czas jakiś, dopiero stwierdzić ważny ten przymiot może, my zaś ograniczymy się na opisie powierzchownej jego strony, którą stanowi arkusz białej, grubej angielskiej blachy, oprawionej w dogodne drewniane rowki z rączką u góry a oparciem u dołu, i mającej wzdłuż szerokie wypukłe karby zębowane. W czasie prania blacha opiera się o balię ukośno, ażeby lepiej było pocierać o nią mokrą i pomydloną lub w mydlinach moczoną bieliznę.

Grubość i wypukłość karbów ma stanowić różnicę odpowiednią cienkości bielizny, do której przyrząd mniej więcej dobrać należy. Im bielizna cieńsza tym drobniejszych karbów wymaga.

Blachy te sprowadził w znacznej ilości pan Schreder, właściciel magazynu naczyń kuchennych i gospodarskich.

Cena ich rs. 1 za sztukę.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Alinie C. w Ostaszynie. Paczkę posłano w dniu 28 z. m. list bliższe objaśnienia zawierający w kilka dni później.

Pani Władysławie S. w Homlu. Książki i gry łamigłówkowe jakie uważaliśmy za stosowne wysłaliśmy w dniu 28 z. m., na czas być powinny.

Panu N. w Witebsku. Całkowity systematyczny kurs nauk Jeskego kosztuje rs. 6 kop. 50.

Pani Maryi Z. w Nasławicach. Suknia oddana do pralni chemicznej, gotowa będzie około 12 b. m.

Panu F. w Mimojnie. Kalendarz posłany.

Pani M. w Grochówce. Pieniądze odebraliśmy. Sprawunki i książki wysłane.

Pani Krystynie B. w Mikołajewie. Rs. 40 odebraliśmy. Żądane pisma zaprenumerowane, książki i bielizna wysłane.

Panu Bronisławowi T. w Kowlu. Książki wysłane dnia 30 z. m.

Panu Antoniemu T. w Sokółce. Nuty wysłane.

Pani Filipinie w Jazowieżu. Paczkę z poczty nam zwrócono, ponieważ stacya Zormiszcze pakunków nie przyjmuje. Prosimy o rychłe wskazanie właściwej stacyi pocztowej.

Pani Klotyldzie S. w Nowosiołku. Pieniądze odebraliśmy, ornat wysłany dopiero będzie około 10 b. m. ponieważ przygotowanych w tej cenie nie było, musieliśmy takowy obstalować, wybrawszy deseń odpowiedni.

Opis ryciny kolorowej.

F. 1. Ubranie balowe z różowej gazy. Fartuszkowa tunika przemarszczona środkiem pod pasem wody i u dołu również wodą oszyta, przyczepia się z boków do szwa tylnych brytów sukni. Bryty te odstają w lekkich bufach przepiętych bukietami kwiatów. Stanik dopełniony jest bertą, krzyżującą się na piersiach, a w stanie przyciśnięty paskiem złotym filigranowej roboty, przy którym na złotym łańcuszku zawieszony jest wachlarz. We włosach i przy bercie białe kwiaty.

F. 2. Ubranie balowe z krepowanego muślinu. Wysoko sięgające bufy dane na tylnych brytach spódnicy, zakończone są u dołu szerokim wolantem, którego przyszycie zakrywa dwa razy przestębnowane plisowanie z blado-niebieskiej materyi. Tunika składana w fałdy zakończona plisowaniem i frendzlą jedwabną. Gładki kirasowy stanik oszyty plisą sznurowany jest z tyłu. Berta z muślinu materyi, przepięta na ramionach kokardami. Szeroka i błękitna szarfa jedwabna zakończona jest szeroką frendzlą.

Włosy krótkie ułożone w loki przepięte gałązką niezapominajek; takiż bukiecik u gorsu.

OD REDAKCYI.

Artykuł o ubiorach pomieszczony został w dodatku, na co zwracamy uwagę Czytelniczek.

Przyjaciela Dzieci Nr 2 wyszedł z druku i zawiera:

Noc (wiersz). — Krótki rys Historyi wewnętrznej Rzymu. Islandya i mieszkańcy okolic Reykjawick (z drzeworytem) Wyspa Tajemnicza przez Julijusza Verne (ciąg dalszy.)— Czyny nauczające.—w Dodatku: Harwey Birch.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa .

Opis do N. 2.

(Ciąg dalszy).

Przy obrabianiu dziurek zapinających vêtement z tyłu pierwszą daje się na 4 cent. od



N. 1. Chusteczka kamizelkowa. Krój w dodatku N. II, Fig. 5.

wykroju szyi, siedm następnych idzie w odstępach 6 cent. a cztery dolne wypadają w odstępach, liczących po 18 centymetrów. Przy zapinaniu vêtement tworzą się fałdy widoczne na ryc. 4 stanowiące podpięcie z powodu skrócenia prawej połowy pleców przez te fałdy, lewa połowa z guzikami wystaje u dołu na 12 cent. Rycina 3—4 przedstawiają przód i plecy vêtement, odszytego z miękkiego wełnianego materyjału, popielatego koloru. Na plisy 5 cent. szerokie, obejmujące vêtement u dołu, a w górze odznaczające jakby stanik z długą baskiną użyta jest czarna alpaga. Frendzla z kulek 9 cent. szeroka dopełnia przybrania.

N. 5. Suknia z vêtement zapinanem z przodu.



N. 2. Pelerynka do wejścia na bal lub koncert. Krój i deseń w dodatku N. III Fig. 6—7.

Podaną do poprzedzających ryc. formę, można z łatwością zastosować do vêtement przedstawionego na ryc. 5 plecy zszywają się do stanu, niżej zapinają na guziki jak na ryc. 4, lub cyrklują równo u dołu, zszywają w całej długo-



N. 3. Vêtement zapięte z tyłu. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4-b.

N. 5. Suknia z vêtement zapiętem z przodu. Krój patrz ryc. 3.



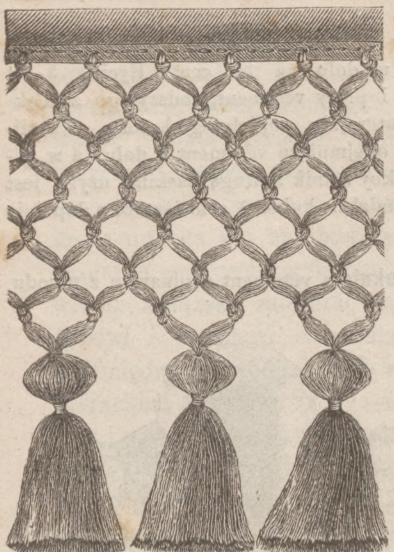
N. 6. Przycisk.



N. 7. Suknia z kaftanikiem. Krój kaftanika podaliśmy w przeszłorocznych N-rach.



N. 4. Suknia z vêtement zapiętem z tyłu. Przód podaje ryc. 3.



N. 8. Frendzla do ryc. 16.

ści a następnie podpinają. Krając przody trzeba przypuścić w szerokości, licząc na zapięcie na guziki. Załączone na ryc. 5 ubranio spacerowe składa się z gładkiej aksamitnej spódnicy, dopełnionej vêtement z materyjału wełnianego na flanelowej podszewce. Frendzla z kulek lub z kwaścików i plisa repsowa dopełniają przybrania.

N. 6. Przycisk ozdobiony malowaniem na szkle.

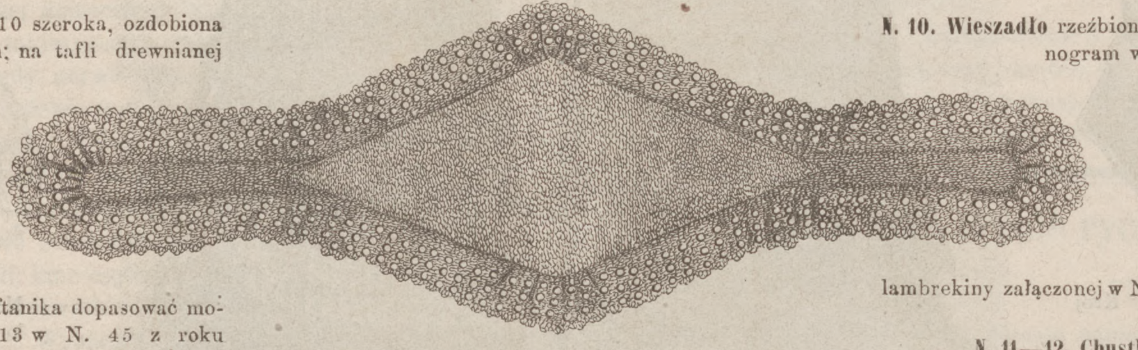
Tafla szklanna 17 cent. długa a 10 szeroka, ozdobiona jest z wierzchu malowaniem ręcznem; na tafli drewnianej malowanie zastępuje się robotą nakrapianą. Malowanie i nakrapianie opisywaliśmy w roku przeszłym, dziś więc przy tak małej robótce nie powtarzamy opisu, odsyłając czytelniczki do dawniejszych N-rów Tygodnika.

N. 7. Suknia z kaftanikiem. Krój kaftanika dopasować można podług ryc. 15 w N. 46 i ryc. 13 w N. 45 z roku przeszłego.

Ubranie złożone z sukni, tuniki i stanika z baskiną dopełnione jest luźnym, ładnie leżącym kaftanikiem, który dla ciepła podszyć można flanelką. Długość kaftanika wynosi z przodu 73 cent. z tyłu 60 cent. przody ścięte są u dołu prosto na 18 cent. wszerz, dolne brzegi zakończa wypustka. Szalowy kołnierz związany jest z przodu węzłem z końcami 60 cent. długiemi a 7 szerokiemi. Kieszonki dodane przy przodach liczą po 15 cent długości, a 12 i 7 szerokości i przyciśnięte są guzikami szmuklerskiemi.



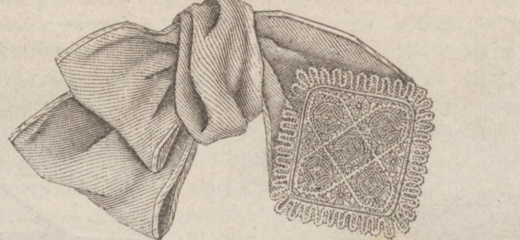
N. 10. Ozdobne wieszadło. Deseń w dodatku N. 17.



N. 11. Chusteczka mantylowa robotą na drutach. Patrz ryc. 12.



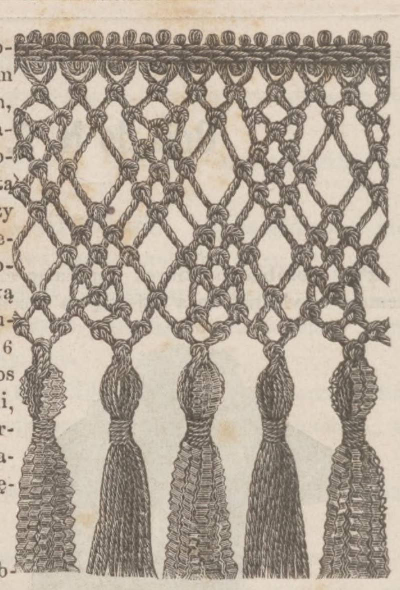
N. 13. Worek do nóg. Deseń w dodatku N. 6—8.



N. 14. Krawatka muślinowa. Zakończenie patrz ryc. 17 i 18 w N. 1.

Suknia zakończona jest wolantem 23 cent. szerokim, oszytym plisowaniem 6 cent. szerokiem, prosto ściętą tunikę zdobią trzy plisy po 5 cent. szerokie, od góry dopełnione wypustką z pod dolnej wysuwa się falbanka 6 cent. szeroka, Skos 18 cent. szeroki, kilka razy przemarszczony w bufki stanowi przybranie rękawów.

N. 8—9. Dwie próbki frendzli siatkowej.



N. 9. Frendzla z nagłówkiem robotą wiązaną.

N. 10. Wieszadło rzeźbione, ozdobione monogramem. Monogram w dodatku N. 17.

Wspaniale rzeźbione wieszadło z owalną ramą; ozdobione jest w środku monogramem, wyszytym złotem na tle z zielonego aksamitu. Otoczenie monogramu wyszyć można podług części lambrekiny załączonej w N. 1.

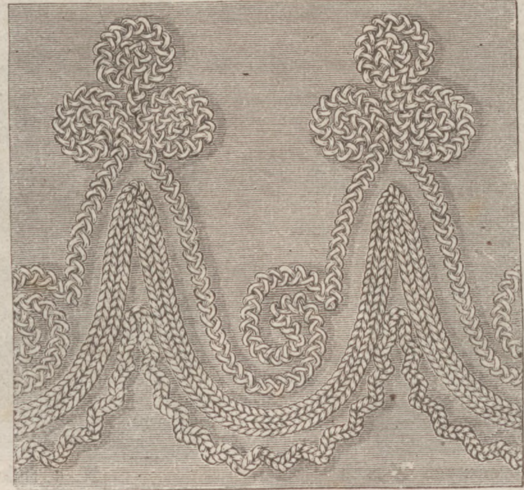
N. 11—12. Chustka naśladująca mantylę.

Ciepłe a lekkie wełniane chustki z powodu swej praktyczności coraz więcej rozpowszechniają się i służą nie tylko do zarzucenia na kapelusz wychodząc na ulicę, ale tworzą w zimie okrycie pokojowe, odpowiednie nawet dla młodych panienek.

Chustka przedstawiona w rozłożeniu na ryc. 11 a zarzucona jak mantyla na ryc. 12, robiona jest na grubych drewnianych drutach ściegiem gładkim, tam i napowrót składa się z kwadratu skośnego liczącego 90 cent. który



N. 12. Chusteczka mantynowa. Patrz ryc. 11.



N. 15. Deseń wyszycia do pelerynki ryc. 2.

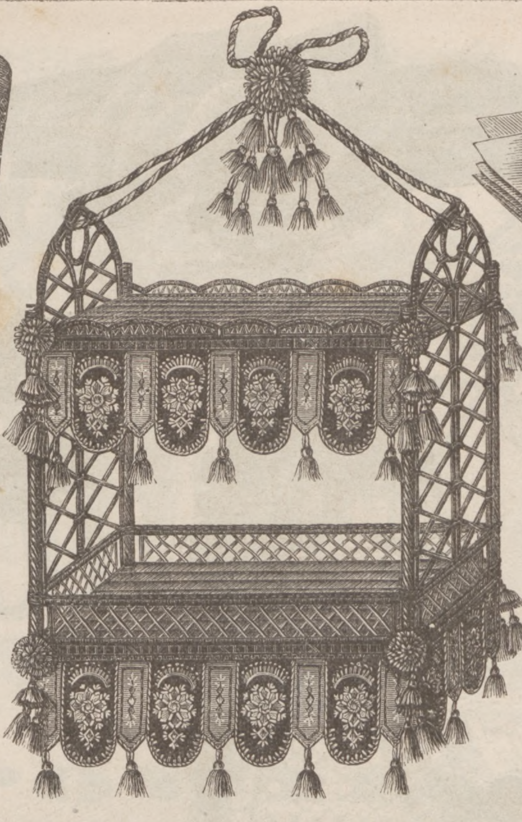


N. 16. Kołnierz z trójkątnej chusteczki.

ma w dwóch rogach dodane końce, jak u fanszonów. Zaczyna się robotę 3 o. na grubych drewnianych drutach i przybiera 1 o. na końcu każdego rzędu, aż do 130 rzędów liczących 133 o. które stanowią środek chusteczki. W drugiej połowie gubi się po jednem oczku w każdym rzędzie. Końce chustki po 40 cent. długie a po 9 szerokie zaczynają się od 20 o. na których obrabia się 100 razy; doszedłszy ku środkowi końca trzeba przybrać i zgubić następnie po kilka ocz dla



N. 7. Wycieraczka do piór. Patrz ryc. 18.



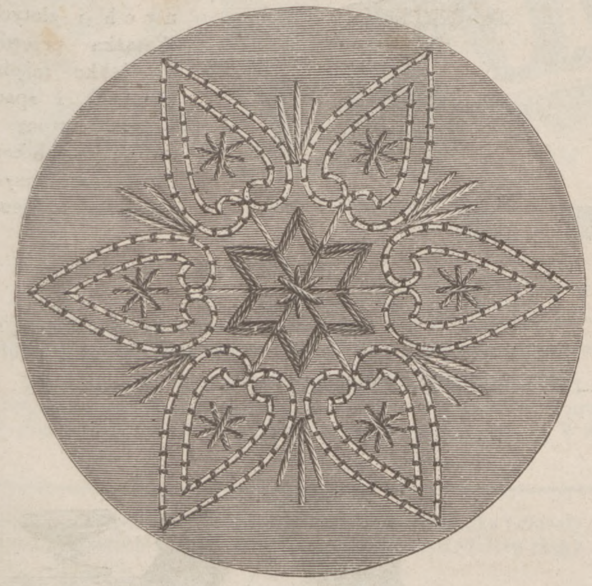
N. 20. Pułeczki wiszące ozdobione lambrekiną. Deseń w dodatku N. 9.



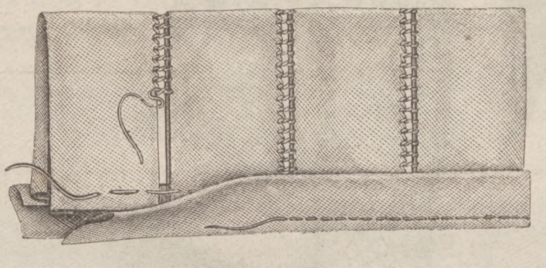
N. 19. Przycisk.

dające układać się i wiązać na różne sposoby, stanowią modne i ładne dopełnienie toalety; trójkąt stanowiący chusteczkę ma brzegi proste 66—70 cent. długie. Model załączony na ryc. 16 zakończony jest bogatą jedwabną frendzlą, którą odrobić można podług ryc. 8—9 i spięty z przodu w pasie sutą kokardą z wstążki.

N. 17—18. Czapeczka do wycierania piór. Robota fantazyjna.



N. 18. Denko do czapeczki. Patrz ryc. 17.



N. 21. Obrąb z kratką ażurową do ryc. 12 w N. 1.



N. 23. Deseń na medaljon do koszyka ryc. 22.

zaokrąglenia. Brzegi chusteczki oszywają się koronką 11 cent. szeroką, także na drutach odrobioną.

N. 13. Worek futrzany do nóg. Deseń wyszycia w dodatku N. 6—8.

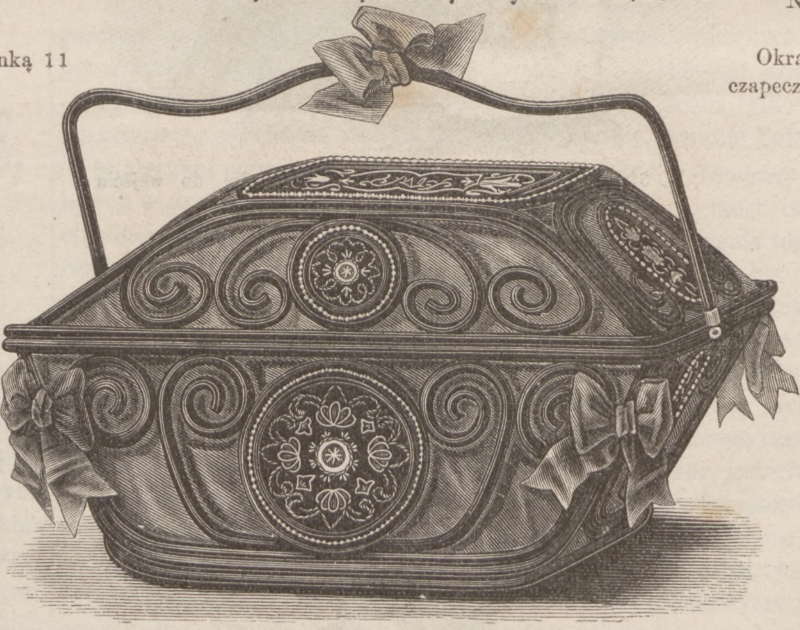
Ozdobiony jest wyszyciem z jedwabiu do cieniu, ściegiem łańcuszkowym i monogramem z koroną. Desenie szlaku tworzącego ramę w koło monogramu, i wielki monogram z odpowiednią koroną znajdą czytelniczki w dodatku na N-rze 6—8.

N. 14. Krawatka muślinowa. Patrz ryc. 17 w N-rze 1.

Prosty kawałek muślinu 13 cent. szeroki zaobrąbiony z brzegów tworzy krawatkę, fantastycznie wiążącą się w dwa pukle z jednym końcem, który trzeba ozdobić kwadratem koronkowym, gipiurowym lub t. p. W 1 N-rze Tygodnika, na ryc. 17 podaliśmy bardzo ładny wzór kwadratu szydełkowego z mignardisą, który da się tu zastosować.

N. 16 i 8—9. Chusteczka trójkątna zamiast szalowego kołnierza.

Chusteczki atłasowe, z z crêpe de chine i t. p.



N. 22. Kosz do robót. Patrz ryc. 23. Deseń w dodatku N. 4—5.

Okrągła szczoteczka 7 cent. średnicy stanowi podstawę czapeczki którą szyje się z zielonego sukna i ozdabia luźnym haftem. Ryc. 18 podaje denko w naturalnej wielkości i deseń wyszycia, daszek dodaje się ze skóry lub tekturowy pokryty materyją czarną.

N. 19. Przycisk.

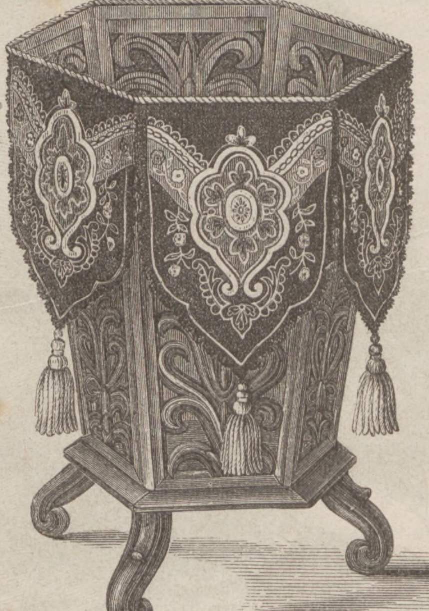
Stanowi go owalny kamień jaki często znaleść można na letnich wiejskich przechadzkach lub wycieczkach po za miasto, ozdobiony malowaniem ręcznem. Ryc. 19 przedstawia ślicznego ptaszka z rozpostartemi skrzydłami, można go zastąpić odpowiednim monogramem lub bukiecikiem.

N. 20. Półeczki wiszące, ozdobione lambrekiną. Deseń w dodatku N. 9.

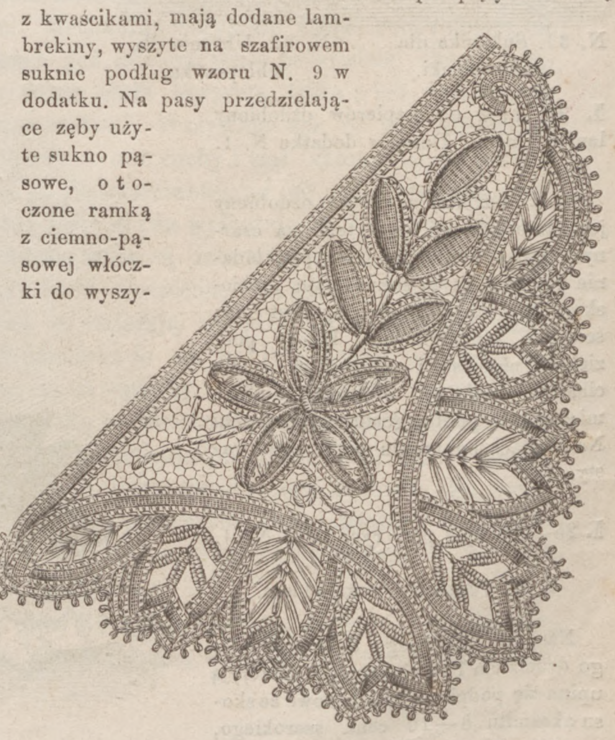
Półeczki z trzciny lakierowanej brązowo, zawieszone na sznurze przepiętym rozetą z kwaścikami, mają dodane lambrekiny, wyszyte na szafirowem suknie podług wzoru N. 9 w dodatku. Na pasy przedzielające zęby użyte sukno pąsowe, otoczone ramką z ciemno-pąsowej włóczki do wyszy-



N. 25. Narożnik do kołnierzyka ryc. 10 w N. 1.



N. 24. Kosz do papierów ozdobiony lambrekinami. Deseń w dodatku N. 1.



N. 26. Narożnik do kołnierzyka. Koronka irlandzka.

cia deseniu wzięta włóczka angielska w kolorze: białym różowym, pąsowym, dwa cienie niebieskiej i dwa drzewne— oprócz tych potrzebny jest kordonek czarny. Kwaściki robią się z włóczki pąsowej.

N. 21. Opis przy ryc. 12 w N. 1.

N. 22—23. Kosz do robót. Deseń w dodatku N. 4—5.

Trzcinowy koszyk podwleczony od środka błękitną materyją, ma w przykryciu i bocznych ścianach medaljony haftowane na czarnym atłasie z podkładaniem kolorowej materyi. N. 4 i 5 podają dwa odmienne desenie ramy danej w około medaljonu na środku w przykryciu kosza. Rycina 23 załącza w naturalnej wielkości deseń medaljonu w ścianie bocznej, pod skończoną każdą część haftu poddaje się tekturę odpowiedniej wielkości i wraz z nią oprawia medaljony nim kosz zostanie podwleczony materyją. Kokardy z błękitnej wstążki dopełniają przybrania.



N. 28. Ubranko z kwiatów i wstążki.



N. 31. Sukienka dla dziewczynki. N. 32. Ubranie dla chłopczyka.

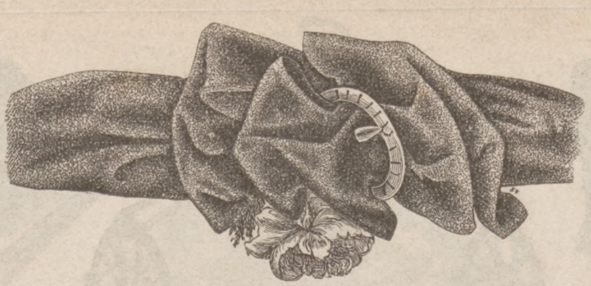
N. 24. Kosz do papierów ozdobiony lambrekinami. Deseń w dodatku N. 1.

Kosz rzeźbiony z drzewa ozdobiony jest lambrekinami, wyszytemi na czarnym suknie podług N. 1; na podkładanie pod haft użyte sukno białe, niebieskie i pąsowe; haft wyszyty jest pelą ściegiem łańcuszkowym, kolory peli: zielony, niebieski i pąsowy w dwóch cieniach, maisowy, oranżowy i biały mieszają się podług gustu w arabeskach. Na końcach lambrekin dodane są kwasty.

N. 25—26. Opis przy ryc. 10 w N. 1.

N. 27. Podpięcie do kapelusza.

Na pasku sztywnego tiulu podszytego drucikiem i powleczonego materyją upina się podpięcie dyjademowe ze skosu aksamitu 8—10 cent. szerokiego,



N. 27. Podpięcie djademowe do kapelusza.



N. 30. Dolman robotą w ramach odpowiedni do wejścia na bal, do teatru lub na koncert.



N. 34. Stanik z baskiną i szalowym kołnierzem.

podszytego fularem. Cztery do siebie zwrócone pukle przepina klamra metalowa lub z konchy perłowej. Z lewego boku od spodu pukli wysuwa się fantazyjnie na dół wpięty kwiat.

N. 28—29. Dwa ubranka balowe.

N. 28. Ubranko djademowe.

Niezmiernie efektowne balowe to ubranie głowy składa się z róż cielistych i blado różowych z liśćmi jedwabnemi i aksamitnemi, rozpiętych na wstążce przerabianej z nitek srebrnych i złotych. Wstążka przewija się lekko między kwiatami i spada z lewej strony w dwóch długich końcach ozdobionych pojedynczemi liśćmi.



N. 29. Wianeczek z liści.

N. 29. Wianeczek.

Spleciony jest z zielonych i czerwonawych świecących liści, z tyłu przypięty jest wiszący bukiet złożony z buldeneżu, hortensyi i białego anemonu.



N. 33. Ubranie dla dziewczynki.

N. 30. Dolman robotą w ramach.

Odrobiony jest z białej włóczki angielskiej i filozeli; robotę w ramach opisywaliśmy w latach przeszłych. Formę dolmanu trzeba dopasować podług której z przeszłorocznych form: do obłożenia brzegów służy puszek łabędzi, a do zapinania szmuklerskie jedwabne guziki.

(dok. nast.).